cena zł 1.—

WYMIARY 9

miesięcznik społeczno-literacki

Wydawnictwa rok drugi, marzec 1939

NOWE POEZJE KAZIMIERZA WIERZYŃSKIEGO

WILGA

Gwizdnęła wilga, poskakała boso
Przez młody powój zaplątany w chrust,
I posypało się po krzakach rosą:
Ptakom zawsze wesoło koło śpiewnych ust.

I odleciała, popłynęła mgliście,
Patrz, przez gałęzie ledwie widać jak
Majową nutą tłucze się o liście,
W powietrzu sieje skrzydłem pożegnalny znak.

Zbieraj się w drogę. Spiesz się, moja miła!
Trzeba nam lecieć w ten błękitny gąszcz,
Wiosna ucieka, z pod nóg się spłoszyła.
Malutki za nią frunął duszek maja, chrząszcz.

WIATR JESIENNY

Kiedy się, ziemio, otworzysz do głębi,
Pachnij tak, jak jesień zbutwiała,
Zużyta moc i próżna chwała,
Jak wiatr, co drzewa skroś przez korę ziębi.

Ptaki się zerwą, nisko zleci chmura:
Garść liści rzuć, niech stygną w rowie.
Jesiony są, jak aniołowie,
Którym po nocy wyszarpano pióra.

Sokory lękiem, żałobą okrutną,
W gałęziach pustych się zaniosą.
Syp się nad nami lekką rosą,
Niech pod nią lec nie będzie nam zbyt smutno.

Posiej woń gnicia cierpką i wilgotną,
Przez którą iść napoły we śnie
Nie tak opornie i boleśnie,
Jak gdy się idzie w ciemność bezpowrotną.

Może w twych liściach ułożyć się łatwo,
Odpocząć na dnie, i z ukrycia
Nauczyć się nowego życia,
Rozpoznać w oczach zasypanych światło.

Otwórz się, weź nas, zagarnij do głębi,
Przeniknij moc i próżną chwałę.
Anioły stoją oniemiałe.
Wiatr pędzi pióra, skroś przez serce ziębi.

LIŚĆ

Zamknij ogród. Ciemny szept
Z warg potoczył się topolom,
Pod oknami z lękiem szedł,
Zapachniało kaprifolium.

Niósł się, płynął kwietny pył
I rozwiewał usypiście.
Popatrz, wiatr się znowu wzbił,
Słychać jak się boją liście.

Jeden szelest, jeden liść
Aż do stołu dobiegł mego,
Nie mógł pod gałęzią skryć
Przerażenia wiosennego.

Na papiery moje spadł,
Snuł się, latał i kołysał.
Dygocący, kruchy płat
Wszystko zakrył mi, com pisał.

Po pokoju wzdłuż i wszerz
Zakołował ponad głową.
Co to było? Czy już wiesz?
Powiedz cicho: liść czy słowo.

KONFESJONAŁ

Rozgrzesz mnie, nocy pusta!
Na dnie konfesjonału
Leżę krzyżem i usta
Schną mi z męki pomału.

Nikt nie kłamał ci niecniej,
Niż my w mroku swej zbrodni,
W błędach swych nieobecni
A miłości tak głodni.

Zimny kamień spamięta
Co ukryłem przed tobą,
Różo ma owinięta
Złą i ciężką żałobą.

Zimny kamień, co pali
Jamą ognia wieczystą,
Nocy, panno z Magdali,
Mroku, ewangelisto.

SEN O SŁOWIE

Jan Barta

W miesiącu imienin Józefa Piłsudskiego myśl łodzianina ze czcią i miłością zatrzymuje się przed domem przy ul. Wschodniej który w wielkich latach konspiracji niepodległościowej mieścił nielegalną drukarnię „Robotnika": zrekonstruowanie tego historycznego miejsca, uczynienie zeń sanktuarium najdroższych pamiątek po działalności „towarzysza Wiktora" w Łodzi wydaje się być najwłaściwszym wyrazem naszej pamięci.

Zrekonstruowany Warsztat Pracy Konspiracyjnej Józefa Piłsudskiego w Łodzi (tak brzmi oficjalna nazwa) został zrealizowany dzięki staraniom wice-prezyd. A. Pączka i E. Ajnenkiela, jak również przy skrupulatnej poradzie Kazimierza Rożnowskiego.

Nad wejściem wisi tablica pamiątkowa. Pochylam głowę i wchodzę do klatki schodowej. Po krętych i dość niewygodnych schodach (ileż razy przemierzała tędy zatroskana myśl!) dostaję się na pierwsze piętro. To tu. Bijące serce zatrzymuje się przed mieszkaniem, które dziś prześwietla życie Łodzi a dawniej oblegane było przez mrok niewoli, weśnięte w najmniej pozorny kąt.

Z wąskiego korytarza drzwi na prawo (jadalnia i kuchnia), na wprost drugie wyjście na schody kuchenne) i na lewo (do sypialni i jadalni, a z tej do gabinetu-drukarni)...

Oprowadza mnie kustosz muzeum, Eugeniusz Ajnenkiel, udzielając w koniecznych chwilach objaśnień. Całość została przywrócona do dawnego wyglądu po wieloletnich żmudnych badaniach i tropieniach dawnego śladu. Dziś wnętrze jadalni i sypialni, saloniku i gabinetu odtworzono z dokładnością idealną.

Te same podłogi, sufity, tapety, gzymsy na piecach... Ile w to trzeba było włożyć cierpliwych poszukiwań, świadczy o tym fakt, że podobną jak w czasie pobytu Józefa Piłsudskiego w Łodzi tapetę trzeba było rozpoznawać wśród nawału tapet dawnych, przechowywanych przez niektóre składy na użytek teatralny; że gzymsy na sufitach i piecach trzeba było fotografować, ze szczątków całość rysunkową odtwarzać i według tą drogą uzyskanego wzoru nowe, identyczne wykonać; że np. abażur na lampie japońskiej odtwarzało się przy pomocy rzeczoznawców z ambasady japońskiej i t. d. i t. d.

Obecnie pokoje (prócz gabinetu) mają charakter muzealny, gabinet-drukarnia posiada identycznie ten sam co dawniej wygląd, rzekłbyś to miejsce zwieczniało na zawsze w swojej wielkości, wyszedł stąd człowiek, lecz został duch Jego i obecny jest w każdej najdrobniejszej rzeczy.

Pokoje o charakterze muzealnym mają każdy swoją odrębną atmosferę uczuciową, niekiedy ciężar heroizmu — i przygotowują widza do pełniejszego zrozumienia i odczucia właściwego sanktuarium: gabinetu-drukarni.

Jadalnia to pokój dzieciństwa.

Następny etap to dawna sypialnia: fotografie, gablotki z różnymi eksponatami uzmysławiają życie Piłsudskiego od zesłania na Sybir do chwili przyjazdu do Łodzi (trzecia dekada październ. 1899 roku). Przykuwają uwagę charakterystyczne zdjęcia z zesłania, odręczne listy i podania Zesłańca do władz i t. p. W tym też pokoju zgromadzone zostały dokumenty dotyczące pracy publicystycznej i redakcyjnej Piłsudskiego: „Przedświt" z 1873 r. (m. in. z pierwszą korespondencją Piłsudskiego), „Robotnik" z 1891 r. (muzeum ma cały komplet pism, redagowanych przez Piłsudskiego), listy pisane przez „Wiktora" w charakterze członka C. K. R.. Tyle sypialnia. Na ścianie wisi jeszcze portret olejny pierwszej żony Piłsudskiego ś. p. Marii z Koplewskich.

Salonik został poświęcony okresowi łódzkiemu i współpracownikom Piłsudskiego z tego czasu. Fotografie. X pawilon. Szpital Mikołaja Cudotwórcy w Petersburgu, skąd udało się Piłsudskiemu zbiec do Londynu. W gablotkach drukowany w Łodzi „Robotnik" oraz „Kurierek Robotnika". Osobne miejsce zajmuje pamięć o współpracownikach. Portret ś. p. Aleksandra Malinowskiego, ś. p. Aleksandra Sulkiewicza i Kazimierza Rożnowskiego (pseudonim Karol albo Karbol). W gablotce listy Sulkiewicza, grypsy Piłsudskiego z więzienia, protokół przesłuchania przez policję...

Bardzo ciekawy materiał historyczny zawierają wspomniane listy Sulkiewicza: donoszą o katastrofie (wykryciu — przypadkowym zresztą — tajnej drukarni) w słowach bezpośredniego wzruszenia. „Kochani! — piszę 26. II. 1900 do towarzyszów zagranicznych — w Łodzi (Wschodnia 19 m. 1) o godzinie 3 po północy z dnia 21 na 22 lutego wzięto naszą drukarnię a w niej Ziuka z żoną".

Drugi list z dn. 27. IV. 1900 r. „Kochani! Ziuk, Władek (pseudonim Malinowskiego — J. B.) i Ziukowa są już w cytadeli. Pierwszą przywieźli Ziukową, facetów dniem później. Matka i mąż Kizi przyjechali do War(szawy) jednym pociągiem z nimi i widzieli obydwóch na dworcu wiedeńskim; przywieźli o 6 rano. Najpierw wyprowadzili Władka w otoczeniu 6 żandarmów i powieźli dalej. Ziuka zaś przesadzili do osobnego wagonu i odstawili wagon na stronę. Przypuszczam, że obawiając się odbicia powieźli go obwodową na nadwiślański, a stamtąd już do cytadeli. Wieźli każdego w osobnym przedziale. Władek szedł z podniesioną do góry głową i miał dobrą minę. Ziuk do niepoznania zmienił się: schudł, blady był więcej niż zwykle, ale twarz miał spokojną i szedł powoli rozglądając się".

Rzucamy jeszcze okiem na posążek bożka buriackiego, w którego wnętrzu chowano klucz od drukarni, oraz na akta „sprawy łódzkiej" i przechodzimy do gabinetu.

Miejsce, w którym ziścił się sen o wolnym słowie polskim. Tu duch płomienny bił iskrami czcionek i ulatywał w świat odezwami. Pokój, w którym panowała Polska niepoddana nikomu, jak tylko Jego woli.

Ze wzruszeniem przestępuję próg. Tak samo. Człowiek opuścił ten pokój, ale wielkość Jego czynu okazała się tak niewzruszona, że przetrwała lata i ostała się po dziś — i po następne czasy — w każdym szczególe. Gabinet żyje tamtą chwilą. Rolety i firanki upięte według dawnej mody przesłaniają wenecki balkon, czyniąc w pokoju półmrok. Na wprost wejścia czerwona pluszowa kanapa (nad nią duży portret Traugutta), biurko z lampą naftową, 2 wiedeńskie krzesła; po prawej stronie drzwi, szafa, która, gdy zdejmowano wierzch, ujawniała maszynkę drukarską, stolik do odkładania wydrukowanych stronic i wysoka lampa japońska. W tym rogu piec, w rogu przy kanapie kosz na odpadki, w którym też przywieziono do Łodzi maszynkę.

Na biurku nieostygłe rzekłbyś ślady życia. Rękopisy, przybory do pisania, zapałki, kaszta z czcionkami... Ołowiane czcionki leżą spokojnie jak niewybuchły proch. A przecież zbierano je w śmiertelne pociski słowa.

Piłsudski (dla Łodzi ówczesnej adwokat Dąbrowski) zasiadał do pracy już z rana. Służąca nie miała prawa wstępu do mieszkania bez wezwania „państwa", a do gabinetu wchodziła tylko w celach sprzątania z „panią". „Pan" nie lubił, by mu po pokojach łażono, a zwłaszcza w gabinecie przewracano. Więc w spokoju zabierał się „pan mecenas" do pracy; myśl rewolucyjna musiała wykuć się do cna (rękopisy nie wykazują wcale poprawek); Piłsudski chodził z rękami w tył założonymi przez pokoje i myślał. Gdy już miał treść artykułu w sobie gotową, zasiadał do pisania.

W pracy pomagała Mu żona i „Karol", który grał rolę pomocnika kancelaryjnego i „dochodził". Sulkiewicz i Malinowski kolportowali do Warszawy.

Najwięcej trudu (i kłopotu) było przy maszynie. 12—14 godzin pracy na dobę. Odbijało się żmudnie po jednej stronie. Heroizm tej pracy, jej strony arcyludzkie i nieraz pocieszne odtworzył Piłsudski we wspomnieniach (Bibuła).

Jak zauważyłem, maszynka mieściła się w podręcznej szafie, z której wystarczyło tylko zdjąć wierzch, aby odsłoniło się skromne narzędzie wielkiego słowa. Dużo też było kłopotu ze znalezieniem identycznego egzemplarza. Ostatecznie przy pomocy ambasadora polskiego odnaleziono taką samą maszynkę w Londynie. I oto wszystko jest tak jak dawniej.

Jakże to pisał Żeromski o bohaterskim niepodległościowcu? — „Wyszedłeś w najciemniejszą jesienną noc, gdy huczał wicher i bił deszcz, a my wszyscy, dwudziestomilionowy naród, spaliśmy w swoich sypialniach, pokojach, izbach, poddaszach i norach podziemnych kamiennym snem niewolników. Wyszedłeś jak przemytnik obnażony do pasa. Na plecach dźwigałeś składowe części drukarni..."

W najciemniejszą jesienną noc... Była też noc, gdy aresztowano w Łodzi Piłsudskiego. Lecz z zainstalowanej drukarni „Robotnika" — urzeczywistniającej sen o wolnym słowie — spływał już brzask swobody.

PRZYBYSZEWSKI JAKO KIEROWNIK LITERACKI „LEKTORA"

Stanisław Helsztyński

Trzykrotnie zakasywał Przybyszewski rękawy, żeby poruszyć wody w polskim strumieniu wydawniczym: w roku 1898, kiedy objął redakcję „Życia" krakowskiego, na jesieni 1917 r. wydając z Jerzym Hulewiczem poznański „Zdrój" i parę miesięcy przed tym montując z drem Lewickim lwowskiego „Lektora".

Placówka ta zawdzięcza swe istnienie wypadkom politycznym z r. 1914. Kiedy Lwów znalazł się pod okupacją rosyjską, kiedy całe życie kulturalne i narodowe zamarło, zrodziła się myśl założenia małej czytelni. Abonament pierwotny wynosił 25 kop., a kaucję zastosowano do żałosnego stanu majątkowego ówczesnych intelektualistów: każdy wypożyczający mógł złożyć w depozycie jakąkolwiek książkę ze swego zbioru. Po upływie roku czytelnia wykazała taką żywotność, że trzeba było zmienić lokal, zająć zamiast jednego pokoju całe skrzydło. Ponieważ instytucje wydawnicze przestały funkcjonować, czytelnia zabrała się sama do drukowania książek. W tym to czasie, z początkiem r. 1917, nawiązał inicjator czytelni dr Lewicki kontakt listowny z Stanisławem Przybyszewskim co miało dla obu stron wydać w następstwie poważne wyniki.

Spotkało się na terenie „Lektora" dwóch niezwykłych Stanisławów: jeden znakomity organizator, kalkulujący przedsiębiorca i człowiek z poważnym kapitałem, drugi zaś z powołania wielbiciel niezwykłości w literaturze, wódz ataków na człowieka przyziemnego, dekadent marki francuskiej idący ze szkoły satanistycznej Huysmansa. Gdy się porozumieli i zaczęli działać ręka w rękę, stworzyli organizację, która popsuła sporo krwi miłośnikom wszelkiego tradycjonalizmu i małomieszczańskiej pruderii.

Co do dra Stanisława Rogali — Lewickiego trudno było do ostatnich lat przewidzieć, że pójdzie tą przebojową drogą z sztandarem wydawcy w ręku. Urodzony w r. 1879 jako syn wybitnego prawnika-przemysłowca z tradycjami ziemiańskimi z Podola oraz matki Włoszki, studiował za granicą na wydziale Nauk Politycznych uniwersytetu w Monachium i Filozoficznym we Lwowie. Przez szereg lat poświęcał się twórczości naukowej pisząc dzieło „Drogi handlowe w Polsce w wiekach średnich" czym zyskał sobie wyróżnienie w sprawozdaniu Akademii Umiejętności w Krakowie za r. 1906. Za jego staraniem powstała Lwowska Szkoła Handlowa, której dyrektorem był od r. 1908, by w dwa lata później objąć stanowisko kierownika Małopolskiego Banku Handlowego. Od czasu wybuchu wojny światowej przerzucił się dr Lewicki na pole oświaty, czytelnictwa i nakładów. Znakomity bibliofil, od r. 1920 prof. Nauk Politycznych Szkoły w Warszawie, stanowił on siłę żywotną „Lektora", który był jego tworem. Nie najmniejszą jego zasługą stanowiła szczęśliwa myśl, by zwrócić się w stosownym czasie do Przybyszewskiego zasięgając jego doświadczenia i światła.

Napisawszy do autora „Synów ziemi" w styczniu 1917 r. otrzymał konkretną propozycję drukowania na pierwszy ogień „Alrauny" Ewersa, właśnie podówczas tłumaczonej przez żonę Jadwigę. Skierowana do Przybyszewskiego korespondencja nie mówiła dosłownie o kierownictwie, nie było też wzmianki o przeniesieniu się do Lwowa, szło o wskazówki wydawnicze na odległość i nadanie placówce autorytetu nazwiska. Ponad wszelką miarę szczodrze obdzielił też „Lektora" Przybyszewski. Kierownictwo faktyczne wypłynęło siłą rzeczy z samego przebiegu współpracy. „Alraune" ukazać się miała na 1 lipca 1917: pierwszy tom biblioteki musiał zawierać program. W czerwcu więc stała się aktualna sprawa napisania słowa wstępnego i ogólnej zapowiedzi Literackiego



St. Przybyszewski
Miedzioryt Anny Costenoble
Berlin 1895

Instytutu Wydawniczego „Lektor" — bo tak postanowiła się przemianować dotychczasowa czytelnia. Program ten napisał istotnie Przybyszewski. Wiemy o tym z listu jego do Lewickiego z dnia 4 czerwca 1917. Daje on w ogóle poznać postawę poety wobec zamierzeń zaimprowizowanego księgarza lwowskiego: „Biblioteka Lektora" może się stać istotnym czynem w dziedzinie naszej sztuki Luka, którą zawsze się dotkliwie odczuwało, którą już „Życie" wypełnić chciało, biblioteką „Lektora" doszczętnie wypełnioną być może. I w tym właśnie tkwi ogromna doniosłość artystyczna Pańskiego przedsięwzięcia: stworzyć bibliotekę tych utworów, które obracają się w podbiegunowych, całkiem nieznanych sferach życia duszy ludzkiej. Szeroko się o tym rozpisałem w wstępie do „Alrauny", więc tego powtarzać tu nie potrzebuję. Stąd biblioteka „Lektora" jest czymś w Polsce całkiem nowym, istotną nową i doniosłą placówką kulturalną — ale koniecznym jest, by była prowadzoną z jasno wytkniętym celem — a taki starałem się — w myśl przesłanego mi przez Szanownego Pana prospektu — wyraźniej jeszcze naszkicować w dołączonym do tego listu projekcie istotnego programu. W pracy i zmysłach Pańskich biorę jak najgorętszy udział, dawno nie zainteresowało mnie nic w tym stopniu co projekt Pańskiej biblioteki z tą szeroką perspektywą — a wierzę bezwzględnie, że ma wielką przyszłość przed sobą. Tylko trzeba to planowo przeprowadzić. Więc usilnie Panu radzę, by po „Alraunie" wydać mój „Krzyk"; następnie wspaniały utwór Barbey d „Aurevilly" „Les Diaboliques" (Plemię diabła), jedną z najgłębszych i najwspanialszych rzeczy, jakie znam, potem „Golema" Meyrinka, „Là — Bas" Huysmansa z obszerną moją przedmową; teraz dopiero Ewersa „Uczeń czarnoksięski" i potem Zbierzchowskiego „Na diabelskiej przełęczy". Zaraz w dalszym ciągu: „La tour d'amour" Rachilde, „Opium" Claude Farrèra, „Jasne noce" Dostojewskiego, niesłychanie ciekawą książkę diabologa De Lancre. „De l'inconstance des démonés" z 1613 roku, Ewersa „Grozę" wybór nowel Amadeusza Hofmanna itd. Biblioteka Państwa odegra wtedy ważną rolę a z punktu widzenia czysto kupieckiego rokuje najpomyślniejsze nadzieje".

Taranem, który miał wydawnictwu torować drogę, był wielki dwuarkuszowy wstęp dodany do „Alrauny". „Na

marginesie tworu Ewersa". Z broszurą tą nawiązuje Przybyszewski do swoich studiów diabologicznych z r. 1897, kiedy był redaktorem „Przeglądu Metafizycznego" w Berlinie. Mając nagromadzonych sporo materiałów, czerpie z nich obfitą garścią i zasypuje nimi czytelnika podkreślając jak za najlepszych dni „Życia" krakowskiego prymat sztuki nad zagadnieniami konwencji etycznej i estetycznej, docierając w głąb nieznanych i nieświadomych sił witalnych człowieka. Nazywa je sferą drugą, biegunem ciemnym i północnym, krainą Czarnego Boga, dziedziną grzechu, czarów i kwiatów zła. Średniowiecze, sekciarskie poczynania Katarów, satanizm, czarna magia, szaleństwo metafizycznie obciążonych jednostek, lucyferianizm, religia à rebours — oto parę pojęć, które Przybyszewski wplótł do swego manifestu mającego zwrócić uwagę na firmę, kroczącą śmiało i bezwzględnie do stworzenia kanonu nieliczącego się z indeksem kościelnym. Natrafiwszy na pojętnego ucznia dążył mistrz do zrealizowania planów, które od lat dziesiątków nurtowały mu duszę: „Raduje mnie myśl, że dzieje się w Polsce coś pięknego, że pomysły i zamiary, którym swego czasu daremnie w „Życiu" urzeczywistnić pragnął, przyoblekają się teraz w realne kształty. I gdybym wiedział, że projekt mego prospektu do serii wydawnictw „Lektora" tak serdecznie i ochoczo przyjęty zostanie, byłbym go jeszcze głębiej i szerzej opracował, a ja tylko szkic narzuciłem. Wielka szkoda, że się z Szanownym Panem osobiście zetknąć nie mogę, w każdym razie wymiarkowałem to z Jego listów, że mam do czynienia z człowiekiem poważnym o wysokiej kulturze i głębokich aspiracjach artystycznych. I temu to człowiekowi jak najchętniej służę całym moim doświadczeniem literackim i obyciem się nie tylko z kulturą polską. Jedno tylko zastrzeżenie, zanim moje wywody rozpocznę: listu tego nie piszę do wydawcy, tylko do człowieka, którego projekt otworzenia okien w Polsce na Europę mnie nie tylko zainteresował, ale serdeczną radością przejął. O ile zrozumiałem, to tendencją całej przyszłej działalności nakładnictwa „Lektor" jest uprzystępnienie dla czytającej publiczności polskiej istotnie wartościowych dzieł literackich, które dotychczas z tych lub innych względów w Polsce ukazać się nie mogły...

(Z listu dnia 22 czerwca 1917 r.).

Bojowy ton wstępu Przybyszewskiego do „Alrauny" i treść samej powieści nie chybiły zamierzonego efektu: lipiec 1917 r. rozbrzmiewał w prasie głosami oburzenia na „Lektora". Zdaje się, że pod presją tych uderzeń dyrekcja mocno straciła na pewności siebie, uciekając się o pomoc do swego opiekuna duchowego, który nie omieszkał pospieszyć z odsieczą w formie artykułu „Alraune", drukowanym w „Gazecie Wieczornej" nr. 3705 i nast. Rozgrzesza w nim „Lektora" z wszelkich przewinień: firma gardzi spekulacją i sensacją, kierując się li tylko sumieniem artystycznym w wyborze swych dzieł, drukując tylko „to co wybiega ponad spo-



Stanisław Przybyszewski
Rys. K. Krzyżanowski



Dagny Przybyszewska
Obraz olejny
K. Krzyżanowskiego

wszednialą, mało co z sztuką mającą wspólnego przeciętność, to co czytelnika zmusza do poważnego wysiłku duchowego i współpracy z twórcą, odsłania przed jego oczyma nowe horyzonty i pogłębia jego światopogląd". Uderzając mocno na niski poziom powieści polskiej mści się gorzko na cenzurze, która utrąciła mu „Życie", zakazywała grać jego „Złote runo". Największą moralną siłą jest odwaga, miał ją Mickiewicz, mają pisarze zagraniczni, których propaguje „Lektor". Autor bez wahania opowiada się po stronie dra Lewickiego przeciw uroszczeniom burżuazyjnej opinii publicznej. Nieskuteczny okazał się wobec takiej obrony bojkot „Alrauny", gdyż powieść miała olbrzymi popyt ukazując się do r. 1921 w czterech wydaniach, zawsze w nowej szacie, po raz pierwszy z obnażoną damą na okładce rysunku prof. Witwickiego.

Mając tak utorowaną drogę dla Ewersa pchano na rynek coraz nowe jego dzieła: „Ucznia czarnoksięskiego" w przekładzie Jadwigi Przybyszewskiej z wstępem męża (1919), następnie „Mamaloi" czyli wybór 8 nowel w przekładzie i z wstępem poety rozbijając w następnych licznych wydaniach zbiór ten na kilka odrębnych kompleksów ukazujących się pod tytułem już to „Pająka" (1918), już to „Serc królów" (1922). Nigdzie jednak nie sięgnął Przybyszewski w przedmowach ewersowych do argumentów tak silnych i jaskrawych jak wtedy gdy sprawa dotyczyła „Alrauny".

Powodzenie tej powieści lansowanej przez niego rozanimowało go tak bardzo, że rozglądając się z swego pokoju na Buffinistr. 12 w Monachium w ogólnej sytuacji wydawniczej w Polsce w tym pamiętnym r. 1917, uległ złudzeniu, że pochwyci w swe ręce całokształt czynników rozstrzygających w tej dziedzinie. Będąc w przyjaznym kontakcie listownym z Jerzym Hulewiczem, Aleksandrem Guttrym i Lewickim snuł przez jakiś czas plan połączenia ich wysiłków w jedną całość, której natchnieniem będzie nie kto inny, lecz właśnie on. „Zdrój" poznański i jego baza organizacyjna „Ostoja", która podówczas drukowała jego książkę o Poznaniu, wydawnictwo „Polnische Bibliothek" oparte na inicjatywie Władysława Kościelskiego i dra Guttrego, ogłaszające mu „Powrót" w przekładzie niemieckim i zamierzające wydać wybór jego dzieł, wreszcie we Lwowie „Lektor" Lewickiego — oto trzy wierzchołki trójkąta podlegającego jego Przybyszewskiego — magicznej władzy. Nie był samolubem autor „Mocnego człowieka" myśląc tak i marząc, nie: chciał w Poznaniu stworzyć centralę poczynań wydawniczych, „Nasz dom", — Ons Huys — i stamtąd promienieć swym wpływem na cały kraj bez względu na zabory i nastroje chwili. Działać, podnosić, rwać ku prometejskim wyżynom, ale zstępować też do głębin i rozszerzać granice pojemności psyche polskiej, oto ideał, który mu przyświecał w tych szczytnych chwilach złudzeń edytorskich.

(d. n.)



W. Grubiński
St. Przybyszewski
Łódź 1902



U góry:
W. Grubiński,
K. Krzyżanowski

u dołu:
H. Grubiński,
St. Przybyszewski
K. Junosza Stępowski
Łódź 1902/3

ACHILLES CHRÓŚCIK

Jerzy Zawieyski

Andrzej: Czy zastałem pana Achillesa Chróścika?

Chróścikowa: Nie — męża niema w domu.

Andrzej: Ach, — to szkoda. Myślałem, ze o tej porze...

Chróścikowa: Ja sama jestem zdziwiona, że go dotąd niema, ale zapewne znów ma jakąś konferencję...

Andrzej: Mam bardzo ważną sprawę do pana Chróścika... Czy mógłbym poczekać na niego?

Chróścikowa: Ależ owszem, proszę bardzo...

(kroki — otwieranie drzwi).

Proszę — niech Pan siada.

Andrzej: Dziękuję. Pani pozwoli, że się przedstawię. Jestem ...

(nazwisko głuszy dźwięk trąbki samochodowej).

Chróścikowa: Przepraszam, zamknę od balkonu drzwi. — Przeżywamy teraz tak doniosłe wydarzenia w naszym mieście, że ja męża nieraz całymi dniami nie widuję.

Andrzej: A cóż to za wydarzenia?

Chróścikowa: No sprowadzenie z Rosji zwłok majora Narlotta! Tego bohatera. To pan nie wie? Będzie święto w całym kraju. Pan pewno nie tutejszy?

Andrzej: Nie. Mieszkam na razie w Warszawie, a w ogóle jestem w kraju od niedawna.

Chróścikowa: Ach tak? A gdzie Pan przebywał przedtem?

Andrzej: W Rosji.

Chróścikowa: W Rosji?

Andrzej: Tak. Właśnie z tamtych czasów znam męża Pani... Pan Chróścik był wtedy w jakimś urzędzie w czasie rewolucji...

Chróścikowa: Och, proszę Pana, to były okropne czasy! Nie mogę o tym słuchać spokojnie. To koszmar, co się tam przeżyło!

Andrzej: O ile wiem, — nie było państwu tam tak źle...

Chróścikowa: Ach, co Pan też mówi? Całe szczęście, że wydostaliśmy się stamtąd. Chociaż to już upływa bez mała 20 lat, a nie mogę tego zapomnieć. — Nigdy!

(Dzwonek w przedpokoju).

O, to na pewno mąż.

(wyszła — przechodzi przez inne pokoje).

Chróścikowa: To ty, Chilciu?

Chróścik: Ja. Cóż się tak dziwisz?

Chróścikowa: Nie. Pewno miałeś posiedzenie — prawda?

Chróścik: Tak. Wieczorem będzie drugie.

(przechodzą do innego pokoju).

Bardzo źle się stało, że dowiedzieli się o mojej znajomości z Narlottem. Nie dają mi teraz spokoju.

Chróścikowa: To wielki zaszczyt dla ciebie, Chilciu. W gazetach już o tobie pisali i będą jeszcze więcej pisać.

Chróścik: Nie zależy mi na tym... W ogóle mam dość tej całej sprawy!

Chróścikowa: Jesteś jakiś zdenerwowany. Czy spotkało cię co złego?

Chróścik: Nie. Przeciwnie nawet! Spotkał mnie zaszczyt.

Chróścikowa: No, jaki Chilciu?

Chróścik: Wezwał mnie dziś burmistrz i oświadczył, że mam jechać z komisją ministerialną do Humania.

Chróścikowa: Do Humania?

Chróścik: Tak. Miałem tę nieostrożność przyznać się kiedyś, że wiem gdzie pochowano Łukasza Narlotta. Muszę zatem jechać i to już za kilka dni.

Chróścikowa: O, Boże — to wielki zaszczyt Chilciu!

Chróścik: A, tak! Mam także napisać dla młodzieży książeczkę o bohaterstwie Łukasza Narlotta. O tym, jak tworzył armię na Ukrainie, jak tworzył powstanie, — o jego pracach konspiracyjnych i wojskowych — no a najważniejsze: o jego bohaterskiej śmierci. Bo... wiesz przecież, że ja byłem przy śmierci Narlotta...

Chróścikowa: Wtedy, gdy go rozstrzeliwali?

Chróścik: Tak... Byłem... Pamiętam to dobrze. Był zmrok, biało od śniegu... Narlott stał w polu, tak o kilka kroków ode mnie. Patrzył we mnie, nie tylko we mnie patrzył... Pamiętam dobrze ten jego wzrok... Nigdy już tego nie zapomnę na moje nieszczęście...

Chróścikowa: Dlaczego na twoje nieszczęście?

Chróścik: Ach, ty tego i tak nie zrozumiesz...

Chróścikowa: Zaczynam się teraz bać tej całej sprawy. Od chwili, gdy postanowili sprowadzić ciało Narlotta tutaj do jego rodzinnego miasta — zauważyłam, że jesteś jakiś niespokojny, stale zdenerwowany... Ty pewno coś ukrywasz przede mną, Chilciu — powiedz...

Chróścik: Zdaje ci się. Nic nie ukrywam. Po prostu jestem bardziej, niż ktokolwiek inny przejęty tą sprawą — no, bo znałem dobrze Łukasza, byłem z nim razem w pracach konspiracyjnych, pomagałem mu. Jemu także wiele zawdzięczam po powrocie do kraju. Listy Narlotta, jakie zdołałem wywieść — utorowały mi drogę do posady, do stanowiska, do wszystkiego. — Rozumiesz teraz czym jest dla mnie Narlott?

Chróścikowa: Rozumiem... Chilciu..

Chróścik: Więc pamiętaj. Położę się teraz. Muszę odpocząć przed wieczornym zebraniem.

Chróścikowa: Tam w saloniku czeka ktoś na ciebie.

Chróścik: Kto taki?

Chróścikowa: Nie wiem. Powiedział nazwisko, ale nie dosłyszałam. To przyjezdny. Z Rosji.

Chróścik: Co? Z Rosji?

Chróścikowa: Tak. On tam czeka. Nie wiedziałam, że będziesz taki przejęty i że...

Chróścik: Powiedz, że nie mam czasu (dwa kroki) albo zaraz — sam go odprawię...

(przechodzi do drugiego pokoju).

Pan chciał się ze mną widzieć?

Andrzej: A... a tak...

Chróścik: Proszę, słucham. Mam bardzo mało czasu.

Andrzej: Więc to Pan?

Chróścik: No... tak... ja. Achilles Chróścik. Ja... Cóż Pan tak patrzy?

Andrzej: Szukam Pana oddawna... Od bardzo dawna... Już nawet straciłem nadzieję... Dlatego, niech Pan się nie dziwi, że się zachowuję inaczej, niż wypada...

Chróścik: Doprawdy nie wiem, o co Panu chodzi?

Andrzej: Rzeczywiście — ja mówię bezładnie... Więc to Pan? Ach, mój Boże, ja się nawet Panu nie przedstawiłem... Jestem Andrzej Narlott...

Chróścik: Kto? Narlott? Narlott?

Andrzej: Więc Pan mnie pamięta?

Chróścik: Zaraz, zaraz, drogi Panie... Niech się Pan nie dziwi, ale to nazwisko mi przypomina...

Andrzej: Łukasza Narlotta. Prawda? Ja jestem jego bratem. Jedynym bratem.

Chróścik: Ach, tak? No, mój Boże. Witam Pana. Rzeczywiście, brat Łukasza. Trudno mi uwierzyć — bardzo się cieszę, niech Pan siada — proszę. To naprawdę dziwne...

Andrzej: Ja także się nie mogę oswoić z tym, że widzę Pana naprawdę. Nie wiem, czy mnie Pan sobie istotnie przypomina. — Wtedy, tam w Humaniu, miałem dwanaście lat. Byłem raz u Pana z bratem — pamięta Pan?

Chróścik: Doprawdy, że niebardzo, bo to tyle lat...

Andrzej: Ja jednak pamiętam. To było w nocy. Nie miałem się gdzie podziać, więc Łukasz wziął mnie z sobą. Tej nocy, pamiętam, był Pan bardzo zdenerwowany. Bałem się, aby Pan Łukaszowi nie wyrządził krzywdy.

Chróścik: Ja? Łukaszowi?

Andrzej: Pamiętam jeszcze, że od razu wtedy usnąłem. Byłem dzieckiem.

Chróścik: Tak. No — więc nic dziwnego, że Pana nie poznałem.

Andrzej: Jeszcze drugi raz chciałem przyjść do Pana, ale żołnierze mnie nie puścili. To było zaraz po rozstrzelaniu Łukasza. Pamiętam, że wtedy płakałem. Chciałem ucałować Łukasza przed złożeniem go do grobu. Ale nie pozwolili mi na to.

Chróścik: Tak, tak... Szkoda, ze to tak wszystko... W czasie rewolucji to Pan wie — tu człowiek żyje, tu już nie żyje. Życie w takich czasach nic nie znaczy. Życie tylko wtedy jest coś warte, gdy jest, jak teraz: cicho. Bo życie jest... jakby tu powiedzieć... życie jest piękne! No, ale wtedy — cóż... tragedia —.

Andrzej: Ja tragedię Łukasza teraz daleko silniej odczuwam niż dawniej. Teraz jestem dojrzały. Wie Pan — ja nie mogę pogodzić się ze śmiercią Łukasza.

Chróścik: Hm... Rozumiem Pana. Ale czy Pan nie myślał nigdy o tym, że ta śmierć nie była czymś tak bezwzględnie złym? Że jednak przez nią mogło się dokonać coś dobrego także?

Andrzej: Nie rozumiem. Jakto?

Chróścik: Zaraz. Widzi Pan — ja często z Łukaszem mówiłem o śmierci. Łukasz nawet swoją śmierć przeczuwał. Dokonywał rzeczy niebezpiecznych. Na terenie ogarniętym przez rewolucję organizował spiski, bunty, nawet tworzył armię. A za takie rzeczy wie Pan co groziło.

Andrzej: Wiem.

Chróścik: Wówczas, gdy Łukasz jeździł od wsi do wsi, od miasteczka do miasteczka, gdy werbował, zaklinał, groził — spotykał się z niewiarą, nawet z obojętnością. Pomawiali go o szaleństwo, lub co gorsza o prowokatorstwo, nawet o karierowiczostwo!

Andrzej: Łukasza? Mój Boże!

Chróścik: Tak: Łukasza. Tego Łukasza, który był bardziej apostołem, niż człowiekiem czynu. Był przede wszystkim poetą. Gdy mówił o Polsce — przytaczał wersety z ksiąg Narodu i Pielgrzymstwa, lub cytował Słowackiego. — Cóż — apostoł!

Andrzej: Tak — to prawda.

Chróścik: Łukasz często powtarzał, gdy wracał ze swej wędrówki, że wolałby, aby go tamci obojętni ludzie pokrajali, zamordowali, byle tylko uwierzyli. Mówił także — pamiętam te słowa dobrze, — coby było, gdyby ten czyn, który zwiastowano w małej wiosce Nazareth nie był opromieniony śmiercią męczeńską? Co by było? Widzi Pan, że Łukasz pragnął śmierci. Kto wie, czy ten, kto go zdradził...

Andrzej: Jakto — „zdradził"? To Łukasz był zdradzony? Czy to możliwe?

Chróścik: Niech się Pan nie przeraża: — Nie wiem. Ja tylko tak fantazjuję. Niech mi Pan powie, czy mógłby Pan zabić człowieka?

Andrzej: Ja? Co też Pan? Skądże Panu takie myśli przychodzą?

Chróścik: Proszę mi darować. Ale o tym człowieku, który Łukasza zabił — często myślę. Zabił go ktoś zwykły — ktoś taki, jak pan, jak ja. Zabił! Kto wie — czy ze strachu? z podłości? Może w tym była jakaś głębsza myśl? A nawet idea?

Andrzej: To dziwne, co Pan mówi. Niewątpliwe jest jedno, że śmierć Łukasza była wielką stratą dla kraju.

Chróścik: O, tak...

Andrzej: Pan pewno musiał także odczuć boleśnie wówczas tę śmierć — prawda?

Chróścik: Mój Boże. Bardzo. Ja tego nigdy nie zapomnę.

Andrzej: Ja wiem. Dlatego tak bardzo pragnąłem Pana odszukać.

Chróścik: A w jaki sposób Pan mnie znalazł?

Andrzej: Gdy się dowiedziałem o projekcie sprowadzenia zwłok Łukasza pierwszą moją myślą było przyjechać tutaj do tego miasta, w którym się Łukasz urodził i wychował. Zgłosiłem się do burmistrza. Powiedział mi od razu, że Pan tu jest. Ogromnie się ucieszyłem, bo oddawna pana szukałem.

Chróścik: Szukał mnie Pan? A dlaczego? Poco?

Andrzej: Po prostu chciałem być bliżej człowieka, który z Łukaszem pracował do ostatniej chwili, który, jak Pan, był jego powiernikiem, — przyjacielem nawet.

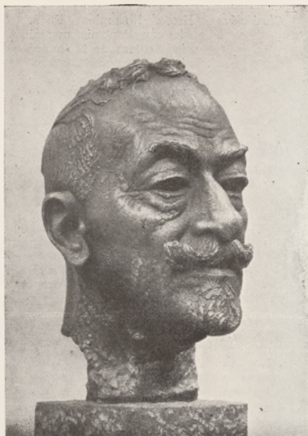
Chróścik: A, tak — tak. Ja Łukasza bardzo kochałem. Zawdzięczam mu wszystko. Dobrze, że zwłoki Łukasza rząd sprowadza do kraju, — tutaj do rodzinnego jego miasta. Będę teraz na zawsze z nim w tym mieście. Za kilka dni jadę do Humania z komisją ministerialną.

Andrzej: Jedzie Pan do Humania?

Chróścik: Tak. Będę tam rozkopywał grób Łukasza, bo tylko ja jeden wiem, gdzie on leży. Proszę Pana, czy Pan nie uważa, że Łukasz tak, jakby zaczął na nowo żyć?

Andrzej: Tak, to prawda... Łukasz zaczyna na nowo żyć.

(d. n.)



Alfons Karny
Generał Safar Malsak-bej



Alfons Karny
Rektor Adolf Beck



Franciszek Habdas
Polonia Victrix



Xawery Dunikowski
Portret



Franciszek Habdas
Dziewczynka



Julia Keilowa
Główka



U POETÓW — RYMKIEWICZ I KARPIŃSKI

Mieczysław Jastrun

Młode pokolenie poetów polskich cechuje szczególnego rodzaju postawa wobec życia, postawa, której nie zawahałbym się nazwać widowiskową. Wizje wielkich poetów Dantego, Słowackiego, Rimbauda kształtowały życie, ukazywały nowe jego obszary, bo dno ich stanowiło takie czy inne odkrycie nowego porządku moralnego. „Wyśnione Alleganу i Libany" Iluminacyj, zorze Króla Ducha,* fantastyczne wędrówki Dantego nie były igraszką wyobraźni, w przedłużeniach swych najdalszych wiodły ku finalnemu celowi — był nim człowiek. Ale jest coś głęboko niemoralnego w owych widowiskach, paradach barw, misteriach umysłów pretendujących do władztwa ducha, w tej całej fantasmagorii, jaką roztacza przed nami pewien odłam młodej liryki.

Nie ma w niej tragizmu, jak to usilnie chcą nam wmówić sami poeci oraz niektórzy młodzi krytycy, nie ma tragizmu, bo nie ma w niej człowieka. Jest natomiast smutek, smutek uczestników teatru życia, którego pozór błyszczący bliski jest przepychowi nicości — pompa mortis. „Widowiskowość" niektórych cenionych utworów współczesnej liryki, ich niewybredna romantyczność odsłania najboleśniejszą ranę współczesności: brak podstaw moralnych. Kotarowa tonacja, przepych wyzwolonego od znaczeń słowa, namiastka „Króla Ducha", którego łuny wiodły przecież do „anielstwa globowego" — oto zawartość tych kruchych rapsodów Rymkiewicza**: „błogosławienie wiecznym pochodom, bitwom i kurzom, łunom i wodom" to także tylko słowa.

Można oczywiście mieć mniejsze ambicje, można poprzestać na chwytaniu piany zjawisk, można — mówiąc słowami Norwida — być „kaligrafem lub notariuszem" współczesności, ale wtedy nie wolno budzić uśpionych ech wielkich znaczeń. A romantyką wierszy Rymkiewicz zbyt często przywodzi na pamięć strofy mistycznych utworów Słowackiego. Wiersze takie jak „We troje", „Pisany dziesiątego sierpnia 1938" oraz fragmenty innych przypominają rytmiką swoją i ogólną tonacją przedzgonne liryki Słowackiego. Ale podobieństwo to, niestety, jest tylko zewnętrzne.

Brak tym pięknym niekiedy, ulotnym, jakby przez sen pisanym wierszom tego, co tak przejmuje w ostatnich utworach Słowackiego, nie ma w nich rozdzierającego vox humana, głosu człowieczeństwa, który nadaje wielkość poezji polskiej od psalmów Kochanowskiego po niektóre wiersze przedzgonne Leśmiana. Jeden krótki urywek Słowackiego więcej mówi o naszym wieku niż rapsody programowych jego piewców:

Związano wieniec z rzeczy przeklętych,
Lamp pogaszono tysiące świętych,
Pod jeden topór ludzkość się kładzie,
Zegary wszystkie stoją na zdradzie...

Albo zestawmy twardo ukute wiersze „Rzeczypospolitej" Rymkiewicza pełnej przedmiotów i nazw geograficznych, z głęboko ludzką poezją patriotyczną epoki minionej! I nie pomogą tu cytaty z Ujejskiego i z „Boże, coś Polskę", nie uratują słabości artystycznej i wyzywającej banalności takich obrazów:

... dzwon Zygmuntowski, dzwon doskonały
uderzył i naród różami oplata
i srebrnym sercem niebo wygasa,
historię przyzywa i sławę wspomina.

Wiersz „Legenda" inne znów przywołuje echa: Wyspiańskiego i Orkana i osłabia je znacznie. Jest tu np. taka strofka:

Położę dłoń dziewczynie tej
na zasłuchanej głowie,
a drugą ręką w nocy tej
srebrzysty sęk ułowię.

Rozlewność tych wierszy, którą podkreśla, choć jej nie usprawiedliwia, tytuł zbiorku „Potoki", ma w sobie pewien niewątpliwy urok, który pierzcha jednak przy powtórnym czytaniu; aż żal tych niezwykłych niekiedy obrazów, nagłych zestawień, błysków piękności rozsianych w warczących nierównostrofach, przepadają w mgle nie dość ukształtowanych treści:

W tym kraju wielkim są ciemne niziny
w mgłach rozpylone, w brzęku potoków.
Opada jastrząb na rzeczne łoziny,
obraca ludzkie czerwone oko
jak rybę krągłą, świecącą na dnie
— to gwiazda wielka krzyknie i padnie
. . . .

Jest w tym pięknym wierszu oddech stepu. Nie darmo daje autor jednemu ze swych poematów tytuł „Trzy wiersze rosyjskie".

Spójrz — drugi obłok miedziany ślad
po rzekach niesie i łące.
Zabłyśnie buńczuk i gwizdnie bat
przy kutym siodle miesiąca
. . . .
W piszczałce tylko w potopie ras
dla niemej synków rozpaczy,
[illegible]
wysoko na spisie kozaczej.

Autentyczny to Blok z poematu „Na polu Kulikowym"... Wszystkie te echa, nie pozbawione niekiedy siły i czystości, nie są tu dostatecznie przyswojone, płyną, zlewają się z potokami innych słów, by nie wpaść do żadnej rzeki. I to jest największa skaza tego zbiorku, pełnego młodzieńczych obietnic, świetnych metafor, ostrych rytmów i umiejętnie stosowanej arytmii.

●

„Niechaj wiersz się z „Sofiówką" całuje cytatą
Niby z prastarą rzeką tej klasycznej mowy —
Od strony skalnych natchnień — bratni dopływ nowy..."

Poemat Karpińskiego*** nie tylko tymi wierszami budzi echo „Sofiówki". Styl całego utworu świadomie nawiązuje do mowy Trembeckiego i niejako prowokuje porównanie. Mocny, plastyczny język Trembeckiego przechodzi tu jednak często w szczebiot, odkrywcze na swój czas sposoby i chwyty mistrza zmieniają się pod piórem Karpińskiego w kolorowe, kruche ozdoby, niby precyzyjne piękności kobiecej tualety. Nieporównana zręczność tych wykwintnych trzynastozgłoskowców, sunących na gumach, jest jałowa, pozbawiona życia, mimo kwilnących jego pozorów. Niektóre fragmenty, przywołujące wspomnienie „Pana Tadeusza" pogłębiają jeszcze to wrażenie prawem kontrastu.

Jednak nie duch tradycyj zaciążył fatalnie nad poematem, lecz ducha tego naiwna i błaha interpretacja.

I kiedy po lekturze poematu Karpińskiego, jak po wesołej przejażdżce w staroświeckim powozie, odczytamy na nowo „Fortepian Szopena" Norwida lub „Uspokojenie" Słowackiego z ich wizją Warszawy, zrozumiemy, że „Poemat o Warszawie" jest krokiem wstecz.

Można by w obronie Karpińskiego powołać się na skromniejsze intencje poematu, na jego „opisowość", stylizowaną „powszedniość", lecz historyczne momenty — najsłabsze w całym utworze — przeczą temu założeniu.

Najlepsze pomysły zabija tu dantyzm, niekiedy niewybredna kokieteria:

„A co to są obłoki? Myślę, proszę państwa,
Że westchnienia poezji na niebach mieszczaństwa".

Ta sama lekkoduszność każe poecie lubować się w buduarowych i cukierniczych metaforach w rodzaju:

„... noc połyka słodkie landryny neonów"
„... nim zdąży zza szyby landrynowa puszka
kolorami zadzwonić w dziecięce serduszko".

Ta sama wreszcie łatwość liryczna każe poecie zakończyć utwór banalnym obrazem murarzy stojących na rusztowaniach i śpiewających „pieśń tworzenia".

Ale to pełne „krzepy" zakończenie nie nastraja nas pogodnie, poemat Karpińskiego raczej zasmuca, jak każde dzieło talentu i pracy, niepogłębione dostatecznie i pozbawione oddechu życia.

„Poemat o Warszawie" należałoby zaliczyć do utworów sztuki stosowanej; jego kaligraficznie wykonane wiersze oraz piękne fotografie ilustrujące tekst tworzą całość miłą i w tym znaczeniu kulturalną.

---

* Krytyka zestawiała „Tropiciela", pierwszy utwór Rymkiewicza, z „Królem Duchem".

** Aleksander Rymkiewicz. Potoki. Warszawa 1938. Skł. gł.: Towarzystwo Wydawnicze.

*** Świętopełk Karpiński. Poemat o Warszawie. Tow. Wyd. Warszawa 1938.

KRONIKA LITERACKA

Ostatnio Związek Zawodowy Literatów Polskich w Warszawie zorganizował szereg odczytów. **Stanisław Ignacy Witkiewicz** mówił na temat „Wróg społeczny Nr. 000". **Włodzimierz Pietrzak** wygłosił odczyt p. t. „Romeo i Julietta 1938" (O powieści E. Szemplińskiej). 24 stycznia odbył się wieczór satyry i humoru **Zuzanny Ginczanki i Andrzeja Nowickiego**. **Bolesław Miciński** mówił na temat „Teoria psychoanalizy". 7 lutego odbyło się uroczyste zebranie w pierwszą rocznicę śmierci Andrzeja Struga, na którym **Tymon Terlecki** wygłosił odczyt „Ostatnia powieść Struga". 14 lutego założyciel i kierownik teatru „Cricot" **Józef Jarema** mówił na temat „Teatr artystów". Następne odczyty wygłosili **Aura Wyleżyńska** (Miłość i przeszłość w powieści kobiecej 1938) i **Kazimierz Czachowski** (Dygasiński w naszych oczach).

W niedługim czasie ukaże się wydanie listów Wyspiańskiego jako kontynuacja jego Dzieł, nakładem Instytutu Wydawniczego „Biblioteka Polska".

J. Grzelka, autor studium o kompozycji „Lilli Wenedy" i rozprawy o twórczości T. Rittnera, przygotowuje monografię o Andrzeju Strugu.

PUSTELNIK

Guillaume Apollinaire

Z ponad czaszki pustelnik klęczący wśród głazów
Krzyczał Przeklinam troski gdy z siłą złowieszczą
Nadlecą wbrew mej woli i pokusy pieszczą
Z logomachii i luny spływające razem

Gwiazdy zawsze pierzchają gdy mówię pacierze
Władco zmarłej i Wieży Orbity Otwory
Zżarte nozdrza głos chrypi jestem z głodu chory
Właśnie swój post skończyłem na spleśniałym serze

Panie wysmagaj ogniem na zachodzie chmury
Które kuszą cię w niebie wdziękiem ślicznych zadów
Wieczorem kwiaty światła głowę do snu kładą
W mroku myszy podłogę zaklinają chórem

Ludzie znają gier tyle Grę w „kocha nie kocha"
Miłość igraszkę pępków lub grę z wielką gąską
„Kocha" grę złudnej cyfry i palców z podwiązką
Z twego dopustu Panie chciałbym się zakochać

Niech mi łagodne dłonie poda Ukochana
Ile jest białych znamion na paznokciach tyle
Kłamstw i grzechu lenistwa Czekam na tę chwilę
Kiedy miękkie ramiona wyciągnie Nieznana

Jednorożcem stworzyły mnie wyroki twoje
I płeć moja w rozkosznym strachu nie jest głucha
Na żądze Choć niewinna jak dziecię w pieluchach
Samotna jak głaz polny sterczy z niepokojem

Rzuć na Chrystusa Pana który obnażony
Wisi suknię nieszytą Może się ostudzę
Kiedy dzwony zegarów toną w chłodzie studzien
I szelest kropel deszczu pieszczą izochrony

Nocą czuwałem w gaju na udrękę gotów
Czyś spłynął krwią i potem Panie w Getsemani
Tak lub nie Przeczę temu Mów Ukrzyżowany
Naprożno spodziewałem się krwawego potu

Wsłuchiwałem się klęcząc w bijące jak przez sen
Moje serce W arteriach krew przepływa falą
Podobnych rudym grzybniom i starym koralom
Skąpstwo aorty było jak obłęd bolesne

Kropla spadła Pot spływa Jego kolor żywy
Płomyk To krew czerwona I sławiąc niebiosa
Szydziłem z potępionych A to tylko z nosa
Krew mi poszła bo zemdlił mnie ziół zapach ckliwy

Wyszydziłem anioła który z nieboskłonu
Nie przyfrunął niedbale by mi kielich podać
Z szarego skrzydła szydzę Zrzucić mi nie szkoda
Włosiennicy z warsztatów krwawych tkaczy z Lyonu

Mimo wichrów błękitu wznoszę się ku niebu
Jak słup światła w noc pełni z morskich fal poczęty
Nadaremnie wzywałem bezimiennych świętych
Żaden nie konsekrował moich przaśnych chlebów

Błądzę w mroku gdy Lilith jak ptak nocny kwili
Naprożno wzywa Otwiera mokre jak rosa
I tragiczne źrenice Ciemności w niebiosach
Gwiazd ogromne piguły zapalą w tej chwili

Szkielet czystej królowej na pętli się chwieje
Z promieni gwiazdy która przemknęła splecionej
Kiedy z nagłym rzężeniem dzień zaczyna konać
Zdławią zieleń nadziei noce w czarnej kniei

Uciekam Dzień Przesłania jutrzenki wzruszenie
Źrenicę która kryje blask rubinów starych
Puhacze Z dala patrzą na mnie owce szare
I maciory z różowym jak skrzela wymieniem

Jak tildy rozpostarte nad polem latały
Kruki w ruchomych cieniach kryjąc żółte łany
Blisko miasta w lepiankach Bogu odebranych
Martwe sowy przybito gwoździem do powały

Przeszedłem kilometry Rozpacz mnie przenika
Sterczące jak piszczele ostre świerków ręce
Zmyliły moją drogę Moje sny dziecięce
Zbłądziły gdy na ziemi spałem w zagajnikach

Wreszcie wieczór wesela Mojej drogi koniec
Stoi przede mną miasto godnie w graniu dzwonów
Gdy zbliżam się powoli moja żądza kona
U bram tłum błogosławiąc wzniosłem w niebo dłonie

Śmieszne miasto Polany błękitu się ścielą
I pałace jak trufle rosną prosto z ziemi
Zdeptanej Poszły żądze gęsiego Za niemi
Moja zbożna migrena nałożyła welon

Bo przyszły wyznać grzechy z każdej grodu strony
Dzięki ślubom miłośnic Panie jestem święty
Zelotidy i Lory Laury i Diamenty
Mówią że znasz je dobrze O ty wypłoszony

O pustelniku odpuść nam powszednie grzechy
Czysty i pełen skruchy jakim cię kochamy
Znaj serca skryj zabawy które tak kochamy
W ust miodowej słodyczy tyle jest uciechy

Więc rozgrzeszam spowiedzi co purpurą krwawią
Poetek obnażonych fornarin i wróżek
Już marne pożądanie piersi mi nie nuży
Kiedy widzę wieczorem nagie pary w trawie

Niczego już nie pragnę Niech nareszcie zgaśnie
Para zmęczonych oczu pośród drgawek sadu
Wśród pompatycznych rzężeń wśród krwawiących jagód
I najświętszych okrucieństw kwiatu Męki Pańskiej

Przełożył Julian Rogoziński

PAMIĘCI MIECZYSŁAWA KARŁOWICZA

Waleria Pałczyńska

Mieczysław Karłowicz posiadał w wysokim stopniu żądzę taterniczych doznań, przylgnął do Tatr, jak wielu innych, szczerze rozmiłowany w górach. Chwile spędzone w Zakopanem zaliczał do najszczęśliwszych swego życia, wśród nich jego natura wrażliwa znajdywała ukojenie w samotności groźnych wierchów, wśród śniegiem ustrojonych pól poszukiwał blasku i radości. Sam najlepiej określa swój stosunek do Tatr, tymi słowami: „Gdy znajdę się na stromym wierzchołku sam, mając jedynie lazurową kopułę nieba nad sobą, a naokoło zatopione w morzu równin zaskrzepłe bałwany szczytów — wówczas zaczynam rozpływać się w otaczającym przestworze, przestaję czuć się wyosobnioną jednostką, owiewa mnie potężny, wiekuisty oddech wszechbytu. Tchnienie to przebiega przez wszystkie fibry mej duszy, napełnia ją łagodnym światłem i, sięgając do głębi, gdzie leżą wspomnienia trosk i bólów przeżytych, goi, prostuje, wyrównywa. Godziny, przeżyte w tej półświadomości, są jakby chwilowym powrotem do niebytu; dają one spokój wobec życia i śmierci, mówiąc o wiecznej pogodzie roztopienia się we wszechistnieniu". I tu w jego umiłowanych Tatrach, u stóp Kościelca znalazła jego tęsknotą udręczona dusza spokój we wszechbycie.

Świetny narciarz, jakim był Karłowicz, wybrał się dnia 8 lutego 1909 roku samotnie w góry do Czarnego Stawu, po drodze dokonał jeszcze kilku zdjęć fotograficznych dla uzupełnienia swego zbioru, gdy nie dochodząc do Czarnego Stawu u stóp Małego Kościelca zaskoczyła go lawina śnieżna i zasypała. Ekspedycja ratunkowa po trzech dniach długiego poszukiwania znalazła ciało tragicznie zmarłego. P. Zaruski opisywał, w jakich warunkach odbywało się poszukiwanie zaginionego, w liście z dnia 12 lutego, ogłoszonym w „Kurierze Warszawskim". Przedstawia tu noc, kiedy czekając na ludzi, badał tę śnieżną mogiłę: „Księżyc miał się wynurzyć z za szczytu Żółtej Turni, posępne Granaty stały w aureoli świetlnej kurniawy, którą wiatr na ich czołach podnosił. Na śniegu się kładłem, przykładałem ucho do śniegu, nasłuchiwałem, chodziłem po tej nieszczęsnej mogile, kopałem. Nic, głucho i pusto. Straszliwe, jak śmierć, milczenie. Jedna z najcudowniejszych, jakie widziałem, i najsmutniejszych zarazem mroźnych nocy tatrzańskich iskrzyła się jeszcze ostatnimi brylantami gwiazd na niebie i ziemi; wokół góry w oślepiającym blasku księżyca stały olbrzymie i nieczułe na owe tragedie, które na ziemi się dzieją".

Pochowano Karłowicza na cmentarzu powąskowskim w Warszawie w grobach rodzinnych, jednak wszyscy turyści wyruszający do Czarnego Stawu mijają pomnik z granitu Karłowiczowi wystawiony, stają w cichym zamyśleniu, jakby oddając hołd duszy jego zaklętej w tym skromnym głazie wśród groźnej, potężnej natury.

Ponieważ mija lat trzydzieści od chwili tragicznego zgonu kompozytora, na czasie będzie przypomnieć znaczenie i rolę jaką spełniał dla muzyki polskiej. Mieczysław Karłowicz należał do grupy Młodej Polski, skupiającej wkoło siebie najlepsze talenty, którym przyświecały wzniosłe ideały podniesienia sztuki muzycznej w Polsce. Utwory fortepianowe Karłowicza mają jeszcze znaczenie studiów, podobnie i jego pieśni, przeważnie do słów Tetmajera, autor nie wychodzi tu poza krąg przyjętego od Urbana akademizmu, ożywia je jednak już charakterystyczna dla kompozytora nuta liryczna. Pieśni „Pamiętam jasne, złote dnie", „Zawód" i „Smutna jest dusza Moja" zwiastują już pesymizm Karłowicza, który później panował wszechwładnie w jego poematach symfonicznych. Po tych pierwszych próbach kompozycyjnych Karłowicz idzie w kierunku muzyki symfonicznej, formę klasyczną symfonii uważa za przestarzałą i po próbie stworzenia typowej symfonii „Odrodzenie" zwraca się wyłącznie i jedynie do poematu symfonicznego. Rzecz prosta, że talent jego kształtował się i wzorował na kompozytorach poromantycznych, przede wszystkim na Wagnerze i Ryszardzie Straussie, również widoczne są wpływy Brahmsa w koncercie skrzypcowym A-dur op. 8. Jaźń artystyczna Karłowicza skłaniała go do tragizmu, zbliżała go duchowo do pesymizmu Czajkowskiego, również zagadnienia miłości i śmierci, „Tristana i Izoldy Wagnera poruszały go głęboko, sam tworzy pod ich wpływem przepojone bólem poematy symfoniczne „Powracające fale" i „Odwieczne pieśni". Kiedy dąży jednak do wypowiadania swego światopoglądu i pragnie rzucić pomost do wszechbytu w ostatniej pieśni tryptyku, czuje się cały tragizm niemocy człowieka i marność jego bytowania, zdaje się wtedy unieść udręce i żalom, wzrusza tym nieustannym zmaganiem się i pragnieniem wyzwolenia duszy.

Również treść poematu „Stanisław i Anna Oświecimowie" posłużyła Karłowiczowi do wypowiadania poruszającego się w innych poematach symfonicznych. Do punktu kulminacyjnego jego pesymizm, jego niczym nieukojony żal i tęsknota dochodzą w „Smutnej opowieści", pełnej ponurych zgrzytów i posępnego i zatrwazającego zwątpienia. Pewną zagadkowością owiane są fragmenty niedokończonego poematu „Epizod na Maskaradzie".

Najwięcej zrównoważenia i pogodnego spokoju znajdziemy w „Rapsodii litewskiej", powstałej ze wspomnień rodzinnych stron, piękno tego osobliwego dzieła tkwi nie w przejaskrawionych kontrastach, ale na uchwyceniu tego niezwykłego nastroju rozległych równin, kompozytorowi udaje się uchwycić rozmarzenie szerokich pól i bezkres nieba, dobierając niezwykle piękne pomysły tematyczne.

Muzyka dla Karłowicza była objawieniem, koncepcja artystyczna jego nie polega na malowaniu zewnętrznych wrażeń, a na wypowiadaniu stanów duszy, problemów istnienia. Skryty z natury i zamknięty w sobie najgłębsze swe przeżycia jedynie odtwarzał w muzyce, siła fatalna miłości i śmierci staje się motorem jego dzieł, stwarza przekonywujący i najmocniejszy ich wyraz. Każdy z nas kornie chyli czoło przed poetycznym natchnieniem tej muzyki, przed niezwykłą ścisłością opanowania form, pracy tematycznej, przed barwnością i blaskiem świetnej instrumentacji. Muzyka Karłowicza nieustannie wzbudza oddźwięk w naszej duszy swą tragiczną powagą, szczerością myśli i uczucia. W historycznym rozwoju twórczość Karłowicza oznacza najwyższe wzniesienie neoromantyzmu polskiego.

KSIĄŻKI DLA MŁODZIEŻY

Mieczysława Lisiewicza „Trop nad jeziorem" (K s i ę g a r n i a P o w s z e c h n a, K r a k ó w) stanowi na tle naszej literatury dla młodzieży wysoce wartościowe i rzadkie przez swoją odrębność osiągnięcie. Czytelnicy „Wymiarów" pamiętają smak tej wybornej powieści: w 3 numerze drukowaliśmy fragment p. t. „Nocna przygoda".

Czar główny to wyzyskanie przyrody i życia zwierząt jako czynnika dydaktycznego. Wszakże cel ten nie został osiągnięty środkami belferskiego opisywactwa: z za krzaków i drzew boru litewskiego nie wyziera botanik, a o zwierzętach nie prawi zoolog. Uroda naroczańskiej krainy bije z kart powieści jak żywioł nieujarzmiony a tajemniczy — życia i sztuki. Lisiewicz potrafi jak Dygasiński odtworzyć perypetie psa, czapli, orłów, rysia i in. zwierząt, jak Kipling — oddać przepastną wiekową moc lasu.

To podniesienie rodzimego czaru ziemi do czynnika równie uniwersalnego co w obcych literaturach młodzieżowych artyzmu, do wyżyn elementu duchowego przetwarzającego człowieka i przez to właśnie dydaktycznego — stanowi wartościowy dorobek literatury w wolnej Polsce. Społecznikostwo, sensacyjne fabuły, nudy wszelkiego opisu zastąpione zostały z powodzeniem przez afirmację życia polskiej przyrody, bujnej w swoim rozroście i pysznej w urodzie.

Państwowe wydawnictwo książek szkolnych we Lwowie rozpoczęło edycję specjalnych książeczek, w których pisarze o znanych i wartościowych nazwiskach stawiają sobie za cel zapoznanie młodocianego czytelnika z Polską i jej największymi wartościami. Trafnie wybrano na początek trzy tematy, w których doszukiwać się można rodników przyszłej Polski.

Zofia Kossak w książce **„Na Śląsku"** daje popularną, acz rzeczową i ubarwioną talentem narratorskim monografię ludu, którego wierność dla Ojczyzny i niezłomność plemienna stanowi symboliczną opokę w zmiennościach dzisiejszego losu i świeci przykładem. **Jalu Kurek** w powieści **„Zamurowana rzeka"** podnosi wartość śmiałej myśli przebudowy gospodarczej, która zaporą wodną na Porąbce realizować poczęła rzuconą przez Żeromskiego wizję Polski „szklanych domów". Wreszcie **Michał Rusinek** w reportażach p. t. **„Polska zaczyna się od Gdyni"** ukazuje nasze okno na świat — port gdyński — i podkreśla znaczenie morza jako czynnika przetwarzającego psychikę lądową.

G. T.



Ekspedycja ratunkowa, poszukująca ciała tragicznie zmarłego kompozytora



Odnalezione ciało na miejscu wypadku



Pomnik wystawiony M. Karłowiczowi przy drodze do Czarnego Stawu

O MUZYCE W POLSCE ROZMOWA ZE STRASZYŃSKIM

Zygmunt Sobolewski

Do rzędu czołowych dyrygentów polskich należy bezsprzecznie Olgierd Straszyński, syn powstańca z roku 1863, wnuk Wilolda Aleksandrowicza, słynnego barytona Opery Warszawskiej. Początki muzyki odbywał pod kierunkiem swej matki, następnie w szkole muzycznej Konstantego i Marii Sławicz-Regamey w Kijowie. W czasie wybuchu rewolucji przerywa naukę muzyki z powodu ciężkich warunków materialnych. W latach 1917—1919 pełni służbę w P. O. W. W roku 1920 przybywa Straszyński do Warszawy, uzupełnia studia średnie i zapisując się na Uniwersytet studiuje równocześnie muzykę w Konserwatorium Warszawskim pod kierunkiem Karola Szymanowskiego, ks. dr. Hieronima Feichta, prof. Sikorskiego i dyrygenta Fitelberga. Dyplom ukończenia uzyskuje w roku 1933. Dalsze studia odbywa pod kierunkiem największego polskiego kapelmistrza Emila Młynarskiego, który interesuje się każdym koncertem Straszyńskiego, udzielając mu cennych wskazówek niemal do ostatnich chwil swego życia. Pierwszy koncert (w Polskim Radio) Straszyńskiego odbył się 13. IX 1932 r. Dalsze lata przynoszą duży dorobek artystyczny, bo przeszło sto koncertów. Straszyński dyryguje we wszystkich większych miastach Polski, nie licząc orkiestr i chórów stolicy. Niezależnie od pracy kapelmistrzowskiej jest stałym prelegentem Muzycznego Ogniska Wakacyjnego Liceum Krzemienieckiego, wykłada przedmioty teoretyczne w Szkole Muzycznej im. Karłowicza w Warszawie, a od roku 1937 jest reżyserem i mikserem audycyj muzycznych Rozgłośni Warszawskiej.

Z pobytu Straszyńskiego w Łodzi, gdzie dyrygował porankiem symfonicznym, skorzystałem, by zapoznać się z poglądami artysty na najważniejsze zagadnienia życia muzycznego w Polsce.

Rozmowa zaczęła się od spostrzeżenia dotyczącego stanu naszej muzykalności.

— Jeśli pod słowem „muzykalność" — mówi Straszyński — rozumiemy zainteresowanie muzyką, jej przejawy w życiu codziennym, jej kultywowanie, wreszcie jej zapotrzebowanie, to stanowczo stan muzykalności w Polsce jest niski. Mimo coraz bardziej pocieszających statystyk o śpiewactwie polskim „muzykowanie" w domu czy to w zespołach kameralnych należy niemal do wyjątków. Frekwencja na koncertach nawet w stolicy — słaba, a zainteresowanie małe. A przecież jesteśmy narodem muzykalnym, mamy niezaprzeczone zdolności, lubimy śpiewać, mamy bogatą pieśń ludową, a ziemia nasza wydała Chopina, Moniuszkę i Szymanowskiego.

— Jednak da się zauważyć nie tylko w Warszawie, ale i na prowincji znaczne zainteresowanie muzyką, np. koncertami symfonicznymi.

— Owszem. Największe zainteresowanie muzyką jest na zachodzie Polski — Poznaniu i Katowicach. Może tę dodatnią cechę zawdzięczamy Niemcom, którzy kultywując muzykę zespołową nie tylko wokalną, ale też instrumentalną, zaszczepili nam podczas niewoli to zamiłowanie do muzyki.

— A którą z orkiestr symfonicznych poza stolicą zalicza Pan do najbardziej zaawansowanych?

— Na czoło prowincjonalnych orkiestr wysuwa się Orkiestra Poznańska, która ma byt zapewniony, stałą pensję i poza braniem udziału w zespole, członkowie nie potrzebują szukać innego zajęcia dla zdobycia kawałka chleba. Praca w tych warunkach, jakich nie mają inne nasze orkiestry prowincjonalne, musi być wydatniejsza i przede wszystkim jest systematyczna. Wymagania stawiane orkiestrantom są znacznie większe, ale właśnie za to się płaci. Inne orkiestry jak np. w Krakowie, Katowicach i Łodzi — walczą z przeciwnościami.



Znakomity dyrygent Olgierd Straszyński

przedstawiają oczywiście pewien poziom, który zdobyły tylko dzięki ofiarnej niemal ideowej pracy całego zespołu oraz dzięki posiadaniu w swym składzie wybitniejszych jednostek — rutynowanych muzyków.

— Tak więc przedstawia się sytuacja obecna, a co Pan sądzi o przyszłości muzyki w Polsce?

— To co się obecnie czyni dla podniesienia kultury muzycznej, musi wydać owoce. Przede wszystkim dla umuzykalnienia młodzieży szkolnej urządzane są specjalne audycje, tworzy się w szkołach zespoły wokalne a nawet instrumentalne. Na prowincji ORMUZ organizuje koncerty oraz cykle audycyj dla szkół, angażując do tego najwybitniejsze siły artystyczne. Na uwagę zasługują audycje p. t. „Z pieśnią po kraju" prowadzone przez prof. Bronisława Rutkowskiego. Rozśpiewanie społeczeństwa, pokazanie mu twórczości rodzinnej z jak najlepszej strony i zachęcenie do słuchania muzyki i jej umiłowania, to pierwszy etap podniesienia kultury muzycznej. Dalszą wielką zasługą Polskiego Radia jest stworzenie ruchu wśród orkiestr prowincjonalnych i pobudzenie ich do pracy nad sobą przez transmisje w każdą niedzielę koncertów z prowincji.

Wiadomą jest rzeczą, że wszelkie koncerty tym bardziej symfoniczne, nie przynoszą zysków a raczej powodują straty. Polskie Radio płacąc za każdy transmitowany koncert z prowincji pokrywa jakby z góry wszelkie koszty tej imprezy. W ten sposób przy najmniejszej nawet frekwencji koncert nie przynosi deficytu, a tego rodzaju subsydiowanie koncertów z prowincjonalnych miast Polski, posiadających rozgłośnie, to czyn wiekopomny Polskiego Radia! Wszelkie konkursy muzyczne, wokalne, instrumentalne, na zbieranie pieśni ludowych, odczyty o muzyce polskiej z przykładami, audycje z opracowanym naszym folklorem przez takich muzyków jak Palester, Rudnicki, Rybicki, Sygietyński i wielu innych, pozwalają przypuszczać, że dzięki intensywnej pracy Polskiego Radia poziom kultury muzycznej podniesie się w Polsce w niedalekiej przyszłości.

— A co by należało jeszcze uczynić w kierunku podniesienia muzyki tak wokalnej jak i instrumentalnej?

— Przede wszystkim nauczenie śpiewu w gimnazjach powinno znowu stać się obowiązującym. Wprowadzenie przez Min. W. R. i O. P. lekcyj śpiewu jako obowiązkowego przedmiotu, podniesie prestige muzyki w oczach młodzieży i zarazem podniesie ducha wśród nauczycieli śpiewu i muzyki, z których wielu zdobyło wysokie kwalifikacje. ORMUZ winien dostać większe fundusze do dyspozycji, aby mógł zwiększyć swą pożyteczną działalność i zataczać coraz szersze kręgi w całej Polsce. Stworzenie opery objazdowej i orkiestry symfonicznej oczywiście na należytym poziomie, wędrującej po całej Polsce, staje się palącą potrzebą i koniecznością. Poza tym należałoby dawać subsydia dla orkiestr i chórów nowopowstających i wyposażyć je w potrzebny sprzęt i nuty. Niemcy tworzą liczne zespoły kameralne, dla nich to wypuszczono płyty gramofonowe z utworami na kwartet smyczkowy, który jest nagrany np. bez partii altówkowej, by jakiś samotny, mieszkający na odludziu altowiolista mógł grać w „zespole" przy pomocy płyty. Inne komplety płyt są nagrane bez wiolonczeli, lub też bez skrzypiec pierwszych czy drugich. U nas brak tego rodzaju zainteresowania, a powinniśmy się wyzbyć po prostu tego „kalectwa duchowego" i zabrać się po domach do uprawiania muzyki. Polskie Radio zrobiło bardzo wiele, a pracując w amerykańskim tempie, buduje coraz to nowe stacje radiowe, stawia dla nich własne gmachy, zakłada własne orkiestry. Poza dwoma świetnymi zespołami stołecznymi posiada Polskie Radio już własne orkiestry w prowincjonalnych stacjach, jak np. w Katowi-

cach, Lwowie, Poznaniu i Wilnie. Należy życzyć, aby inne stacje a w pierwszym rzędzie Kraków i Łódź dostały własne stałe zespoły. Drugim życzeniem byłoby jak najszybsze zwiększenie już istniejących prowincjonalnych, orkiestr symfonicznych do liczby 50 osób. To co już istnieje, to duży postęp, a tym nie mniej jest to tylko udzielenie pierwszej pomocy, zastrzyk podtrzymujący zamiłowanie do muzyki, zachęta do krzewienia kultury muzycznej. Każda z orkiestr występuje tylko osiem razy do roku i mimo wydatnej pomocy P. R. za wszystkie próby i intensywną pracę, poszczególny członek orkiestry nie ma należytego ekwiwalentu pieniężnego.

— A co Pan powie o muzyce w Łodzi?

— Jeśli chodzi o Łódź, to jestem po prostu zdumiony ofiarną pracą muzyków łódzkich, członków orkiestry symfonicznej Zw. Zaw. Muz. Chrz. Mimo nie sprzyjających warunków materialnych, znalazła się w Łodzi garstka muzyków ideowych, którzy utworzyli własny związek zawodowy i dążą do zmniejszenia niedoli swych kolegów i polepszenia im warunków bytowania.

Prezes Zw. Zaw. Muz. Chrz. Kazimierz Ciesiołkiewicz stara się pokonać wszelkie przeciwności i dźwigając na swych barkach ciężar odpowiedzialności, stopniowo zdobywa placówki dla małych zespołów, uzyskuje engagement P. R. dla orkiestry salonowej, którą reorganizuje i dla kształcenia jej sprowadza na stałe kapelmistrza z Warszawy p. Tomasza Kiesewettera, wreszcie stwarza wielką orkiestrę symfoniczną i podejmuje się prowadzenia sezonu koncertowego 1938/39 z tym, że osiem koncertów symfonicznych z sali Polskiej Y. M. C. A. ma być transmitowanych w programie ogólnopolskim. Programy tych koncertów są nadzwyczaj urozmaicone, a na solistów sprowadza się najwybitniejsze siły stolicy.

Nie zapominajmy, że członkowie łódzkiej orkiestry chrześcijańskiej, to przeważnie robotnicy z fabryk łódzkich lub nawet podmiejskich, kolejarze, urzędnicy i zawodowi muzycy, którzy po każdej długiej próbie, trwającej nieraz kilka godzin pracują jeszcze w lokalach gdzie grają do późna w nocy, aby zarobić na utrzymanie. Nic dziwnego, że praca w orkiestrze wobec takich warunków nie może iść normalnym trybem i nie jest systematyczna. Publiczność łódzka, przeważnie mało muzykalna, zaczyna coraz liczniej uczęszczać na poranki symfoniczne. Widocznie prawdziwa sztuka przemówiła już nawet do najoporniejszych mieszkańców zadymionej Łodzi.

— Na koniec zapytam Pana o muzykę modernistyczną?

— Społeczeństwo a raczej jej część, która od czasu do czasu bywa na koncertach, przeważnie nie rozumie muzyki nowoczesnej, boi się jej. Kompozycja atonalna dezorientuje mniej z nią osłuchanych i sprawia na nich wrażenie „kakofonii". Propagatorzy muzyki modernistycznej niejednokrotnie sami wyrządzają jej szkodę, gdyż wykonują na popularnych koncertach utwory nowoczesne wątpliwej wartości, prace eksperymentalne, których powinni słuchać tylko znawcy, stali bywalcy, osłuchani z wszelkiego rodzaju muzyką. Jestem zwolennikiem „dobrej" muzyki, przemawiającej bezpośrednio do duszy i serca człowieka z natchnienia prawdziwego powstałej. Każdy styl mi odpowiada; jestem rozmiłowany w Bachu tak samo jak Schubercie, Chopinie czy też Prokofiewie, Strawińskim i Szymanowskim. Nie interesuje mnie natomiast muzyka „robiona" przez epigonów jakichś wielkich twórców, naśladowców prawdziwych talentów, wreszcie muzyka wychodząca spod pióra pseudokompozytorów, którzy nie są w stanie nic stworzyć, nie mają ani natchnienia ani też nic do powiedzenia... Budują sztuczne konstrukcje muzyczne, „zakrapiane" dyssonansami, podrabiają fakturę uznanych już i prawdziwych dzieł, a „wypociny" swe uważają za najwyższe „nowoczesne objawienia".

Rozmawiamy jeszcze o ostatnich pracach Straszyńskiego.

Zapewnia, że muzyka zawsze jest dla niego chlebem codziennym i żywiołem. Dlatego nie tylko dyryguje, ale i opracowuje kompozycje, instrumentując je zarazem.

— Tak, proszę pana — kończy — muzyka — to dla mnie wszystko.

BIBLIOTEKA WŁOSKA „KSIĄŻNICY-ATLAS"

Wyborem nowel **Massima Bontempelli'ego „Wycieczka na tęczę"** rozpoczęła **„Książnica-Atlas"** specjalny cykl przekładów literatury włoskiej.



Massimo Bontempelli

Wchodzą tu wybitni pisarze Italii doby współczesnej, jak wspomniany już Bontempelli, a przede wszystkim D'Annunzio, dalej Aldo Palazzeschi, Alfredo Panzini i Fabio Tombari.

Ostatnio ukazało się z tego cyklu kilka powieści: **Massimo Bontempelli „Adria". Dzieje kobiety pięknej", Alfredo Panzini „Latarka Diogenesa"** oraz inne.

Bontempelli porusza w swojej powieści zagadnienie piękności kobiecej jako potęgi bezwiednie złowrogiej. Rozwija ten temat w sposób oryginalny, traktując urodę kobiety jako przedmiot kultu niemal religijnego, mającego swoich czcicieli, wyznawców, proroków i — jak każdy kult — swoje ofiary.

Pierwszą ofiarą jest sama bohaterka, poświęcająca dla swej urody szczęście osobiste, życie najbliższych, a nawet własne istnienie. Powieść Bontempelli'ego stanowi wnikliwe studium psychologiczne narcyzizmu kobiecego, ujętego jako treść i racja istnienia.

Druga powieść — **Alfredo Panzini „Latarka Diogenesa"** — ma właściwie charakter pamiętnika z wywczasów letnich. Tematem jest tu wakacyjna podróż rowerem z Mediolanu przez Parmę, Modenę, Reggio nad Adriatyk, która nie tylko pozwala, jak w kalejdoskopie, oglądać fragmenty czarownego krajobrazu niziny Lombardzkiej, Apenin i brzegu morza w pobliżu Rawenny, ale nasyca nas łagodną ciszą prowincji włoskiej o staroświeckich domach z ich dawnymi obyczajami.

Lecz wojaż ten nie jest duchowym wypoczynkiem mieszczucha: na pozór bezpretensjonalna gawęda o drobnych zdarzeniach i nieważnych ludziach ma w sobie błyski intelektualnych rozważań. Ze sceptyczną filozofią humorysty prześwietla pisarz „latarką Diogenesa" napotykanych ludzi, z ironią i melancholią rozpamiętuje zdarzenia i przygody, jakie zaszły w czasie eskapady wakacyjnej. Wyrasta z tych nieumyślnych na pozór sądów postawa pisarza humanisty, szukającego w życiu wartości istotnych.

Tegoż autora przetłumaczono drugą powieść p. t. **„Ksantypa"**. Wbrew pozorom nie chodzi tu wcale o żonę Sokratesa, tytuł ludzi, choć może nie jest przypadkiem; przy pomocy postaci Ksantypy ujął autor małość i złośliwość, pętające się koło każdej wielkości. Zarówno dziś jak i dawniej! Na szerokim tle obyczajowym dawnej Grecji ukazuje Panzini Sokratesa, jego rewolucyjne myśli i etyczne nauki, konflikty z otoczeniem, wreszcie śmierć. Odczuwa się tu paralelę między tą bezkompromisową etyką a brutalnie odhumanizowaną teraźniejszością. Kto myśli, wyciągnie stąd potrzebne wnioski.

Wreszcie w tej samej bibliotece ukazał się **„Giovanni Episcopo"** Gabriela D'Annunzio. Powieść ta należy do wcześniejszych prac w dorobku tego znakomitego pisarza. Napisał ją w młodości, kiedy słynął raczej jako misterny poeta, opiewający rozkoszną czarę życia. „Giovanni Episcopo" odsłania nowe możliwości: jest to opowieść o prostym człowieku, jego miłości i zbrodni. Skazaniec opowiada o swojej zbrodni i jej motywach: zabił z miłości dla dziecka. W spowiedzi obnaża się cała martyrologia człowieka słabego i dobrego, doprowadzonego przez ludzi i wypadki do morderstwa. Problem wybitnie psychologiczny. Ton spowiedniczy dominujący w opowieści czyni bliskimi i ludzkimi najbardziej mroczne zakamarki w duszy bohatera.

G. T.

SPROSTOWANIE

Do artykułu Mieczysława Jastruna p. t. „U poetów — pośmiertny tom Leśmiana" w nr. 8 „Wymiarów" zakradło się kilka błędów. Prostujemy najważniejsze: 3 szpalta wiersz 22 od dołu wydrukowano „Norwidowo załamane centrum", powinno być „Norwidowo załamane **metrum**". W tejże szpalcie wiersz 6 i 7 od dołu wydrukowano „nie pisał na pewinien temat", powinno być „nie pisał na **pewien** temat".

ODWIEDZINY — REPORTAŻ Z ŻYCIA

Stanisław Bilski

W świetlicy dziecięcej, prowadzonej przez Towarzystwo „Opieka“, oddział w Łodzi, jestem już drugi raz. W czasie pierwszej wizyty rozmowa jakoś się nie wiązała. Co prawda wpadłem akurat na chwilę odrabiania lekcji; między rachunkami i wypracowaniem z polskiego uczyniła się nagła wyrwa, której nie dało się wypełnić niczym istotnym. Dzieci, odrywając się od swoich prac, stojąc w gestach zakłopotania, odpowiadały dość stereotypowo. Że dobrze się tu czują, że się uczą, bawią i... bariera ławki szkolnej była, zdawałoby się, nie do przebycia.

— Co chcecie, by pan o was napisał?

— Że jesteśmy grzeczne.

— To są wszystkie dzieci rodziców bezrobotnych — wyjaśnia wychowawczyni.

Ogarniam spojrzeniem drobne twarze, mniej niż skromne ubranka — i umieszczam tę gromadkę na tle dobrze mi znanego przedmieścia robotniczego Łodzi, gdzie zaułki gną się jak nogi suchotników, a rudery duszą się nieprzewietrzaną nędzą.

Że jesteśmy grzeczne? Nie wątpiłem, że świetlicę kochają. Ale gdzież wyraz dla tych trosk, które zaczynają się już za progiem? Rodzice bezrobotni, mieszkanie zamarłe...

Chcę naprowadzić rozmowę na tematy bardziej istotne.

— Cóż tak mówić bezmyślnie — przecina moje próby odezwanie się któregoś dziecka. Ile ma lat? Obraca na mnie ciężkie od spojrzenia oczy. Taka powaga dojrzewa tylko w wyjątkowo trudnych warunkach.

Milczę i postanawiam w duchu zaczekać na lepszą okazję. Gdy dzieci będą swobodniejsze, bardziej ośmielone.

Po paru dniach telefon: dzień samorządu połączony z wieczorkiem świetlicowym. No, tu już dzieci będą chyba sobą. Przecież to one obejmują w tym czasie świetlicę we władanie, prowadzą zajęcia, wypełniają swoją myślą tok zdarzeń...

Toteż chętnie wybieram się w odwiedziny.

Już na parterze wita nas — jestem w towarzystwie pań wychowawczyń — dziecięcymi głosami huczny gwar. Idziemy po schodach. W oczach migają szybko twarze, żywe gesty rąk... Korytarz jest rozbiegany, z każdego pokoju dają się słyszeć śmiechy i wybiegają dzieci. Zaraz się ta ciżba wyroi na salę.

Zapytuję o szczegóły pracy.

— Mamy 150 dzieci, tak zresztą jak w każdej innej świetlicy.

— A ile jest świetlic w Łodzi?

— Sześć, położonych na przedmieściach. Oczywiście, ta ilość nie wystarcza. Brak środków...

— Choć świetlica taka, jak to widzę, stanowi dla dzieci bezrobotnych prawdziwą przystań radości.

— A nieraz jedyne też miejsce, gdzie otrzymują jakieś porządne pożywienie. Trudno wprost wyobrazić sobie, jak ciężko jest tym dzieciom w domu.

Istotnie. Do tego głód jest kiepskim wychowawcą. A choć rodzina bezrobotnego usiłuje zawsze oprzeć się depresji, w końcu jednak rozprzęga się moralnie. Dziecko ucieka na ulicę, nawyka do rzeczy złych i przechodzi przez najgorszą szkołę.

Toteż dopiero na tle tych fatalnych warunków rozumie się w pełni dodatnią akcję świetlicową dla dzieci rodziców bezrobotnych. Codziennie na parę godzin eliminuje się je spod wpływu niezdrowego środowiska, poddaje się dobroczynnemu działaniu nauki, ludzkiej opieki, rady i koleżeństwa. Zatrute wyziewami miasta młode dusze przywraca się zdrowiu moralnemu i najlepszym wartościom życia, po drodze życzliwych wskazówek prowadzi się je do skarbca naszej kultury, uczy miłości ojczyzny i zbiorowego obowiązku.

— Dzieci — mówi wychowawczyni — przychodzą już o wpół do czwartej. Najpierw biorą się do odrabiania lekcji, potem mają różne gry pokojowe, czytanie w bibliotece i inne nieprzymuszone zajęcia. O 5-tej zaczyna się podwieczorek. Przed tym obowiązkowe mycie rąk i picie tranu.

— Tran? Piją bez grymasów?

— Alez... ciągną jak konfitury. Przyjemność z biedy. Niektóre proszą po parę łyżek. Po podwieczorku, składającym się z kawy wraz z chlebem z jakąś omastą, następują pogadanki, śpiewy, wolne zajęcia itp. Zamyka dzień świetlicowy o godz. 7-ej wieczorem modlitwa. Dzieci wracają do domu.

Dziś jest nieco inaczej. Podwieczorek już się odbył, lecz dzieci chcą uświetnić dzień samorządu, przygotowały więc tańce własnej kompozycji, śpiewy i deklamacje.

Idę na tę osobliwą premierę. Obszerna sala ze sceną do przedstawień pełna „publiczności“, dość nieprzymuszenie gwarzącej w oczekiwaniu występów. Za kurtyną rwetes, no, to już znak, że początek niedługo.

Tymczasem dziesięcioletni chłopczyk gra na fortepianie. Jest niewidomy. Lecz palce biegają jak setki oczu, są zelektryzowane muzyką. Szybko gonią takt za taktem. Żalą się kujawiaki, tętnią posuwiste polonezy, sypią się mazurki. Fortepian, uniósłszy czarne skrzydło wieka, porywa duszę tego chłopca. A otoczenie? Dzieci słuchają z czułym uznaniem. Patrzą sobie w oczy i rozumieją tak wiele.

Wreszcie zaczyna się uroczystość, po powitaniu obecnych i podziękowaniu, złożonym kierownictwu świetlicy za serdeczną i troskliwą opiekę, dzieci popisują się w tańcu i śpiewie. Są pełne ruchu jak rozpędzone bąki. Głosy dobywają z siebie całą świeżyznę głębokiego dzieciństwa, czarują naiwnie i prosto. Recytacja poezji staje się nagle sprawą tak ważną, że całe audytorium zamiera w uwadze i wzruszeniu. A na scenie? Z za kotar i niewybrednych dekoracji wychylają się ukryte dotąd twarze koleżanek i kolegów, uczestniczące jak gdyby w jakiejś tajemniczej rzeczy. Są tą chwilą głęboko przejęte, biorą wszystko na serio, prawdziwie, dziecinnie, bez udawania i cienia wątpliwości.

Zachowuję niezbędną w takich momentach powagę, oklaskuję wykonawców i zostaję przyjęty do grona ludzi „swoich“. Pierwsze lody zostały przełamane, obcość we wzajemnych stosunkach znika.

Teraz słucham uważnie, jak przewodniczący dziecięcego samorządu informuje o dokonanej w obecnym roku świetlicowym pracy. Zapewne, osiągnięcia są małe, uczynki drobne... Czy jednak drobne? Urządziły przedstawienie na rzecz najbiedniejszych dzieci na kresach, przyozdobiły świetlicę, dbały zawsze o porządek, naprawiły braki w grach i bibliotece, urządziły wycieczki, pielęgnowały rośliny. Palce dziecka wplotły się już dokoła jakichś prac, urobiły kształt rzeczy. To wiele. Przecież na ulicy, pozostawione sobie, chwytałyby się za krawędź płotu, kamień lub połę przechodnia w oczekiwaniu łaskawego datku.

W czasie zabawy — tańczą już najmniejsze berbecie — usiłuję nawiązać bliższą rozmowę. Dzieci patrzą już ufniej, chętnie odpowiadają i nabierają w ogóle odwagi. Są swobodne, bez wyreżyserowanej grzeczności, lecz mimo to nacechowane czujną rezerwą. Ulubionym tematem dziecka jest sprawa: kim będę, gdy dorosnę? Bohaterka części recytatorskiej popisu marzy o sławie ar-



Podwieczorek w świetlicy łódzkiej Tow. „Opieka“

tystki, lecz spotyka się z naganą koleżanki.

— Ona tak tylko dlatego, żeby ją w gazetach opisywali.

Pytam więc karcicielkę o jej pragnienia.

— Chcę być nauczycielką. Bo nauczycielka tyle dobrego robi. Nasza pani kocha nas i pomaga nam. Gdy dorosnę a spotkam takie biedne dzieci jak ja, będę robiła to samo.

Wyrażam przekonanie, że może uda się jej to marzenie ziścić. Potrząsa ze smutkiem głową.

— Mój tatuś nie pracuje, nie będę miała pieniędzy, by się uczyć.

Teraz rozmowa wchodzi na najbliższy dzieciom temat: rodzice. Dotykają tej strony swojego życia z niewymownym smutkiem, a zarazem z ostrożną czułością i jakoś godnie. One już znają wagę największego dramatu: bez pracy.

— A co będziecie robiły, gdy świetlica się skończy. Latem?

— Pojedziemy na kolonie. Ja do Sulmowa, bo tam taki staw i drzewa... A ja do Borowna... A ja...

Opowiadają teraz, jak to tam bywa na koloniach. Zapraszają, by koniecznie przyjechać. Całą gromadkę ogarnia teraz inny nurt myśli: rzuca w wir letniej zabawy, słońca, zieleni... Długi film marzeń dla dzieci rodziców bezrobotnych, gnieżdżących się w zatęchłych mrocznych norach...

Lecz czas się już żegnać...

— Ale pan jeszcze przyjdzie do nas? Pan przyjdzie do nas?

Ściskają mi dłoń serdecznie i dziecinnie, obiema rękami, jakby to była jakaś cenna rzecz z nieznanego im świata.

UNIWERSYTET ZIEMI ŁÓDZKIEJ

Franciszek Białas

Na połowie drogi z Łęczycy do Piątku w pewnym oddaleniu od szosy widnieje z daleka grupa budynków dworskich. Jest to resztówka dawnej fortuny pańskiej, której okres świetności minął bezpowrotnie. Bryski.

Obecnie w starych murach dworskich kipi nowe życie, ale w niczym nie przypomina tego co odeszło.

Mieści się tu Uniwersytet Wiejski, czyli szkoła życia społecznego dla młodzieży chłopskiej. Dziwna kolejność losu, a raczej sprawiedliwość dziejowa zrządziła, że w miejscu gdzie całe pokolenie chłopów zginało kark w jarzmie pańszczyźniano-poddańczym, a pracę uważało za upokorzenie i przekleństwo, dziś synowie wsi znajdują tu jedyne wczasy kulturalne w swoim życiu. Przez okres pięciu miesięcy, wolni od trosk materialnych, w atmosferze rodzinnej i wzajemnej szczerości budzą się do nowego życia. Tu rozpocznie się ich start do życia społecznego na wsi i pracy nad sobą co się nie skończy, aż do śmierci. Tu ogarnia ich nowy duch czasu, duch powszechnej odmiany, który wieje nad światem i wypowiada się w nowych formach i urządzeniach społeczno-politycznych. Ten powiew nowych czasów nie ominie i chałupy wiejskiej. Chłop pragnie się ucywilizować, ale sobą został. Budzi się. W Bryskach budzi go wykład o górnej i chmurnej przeszłości naszej, czy też rozważanie odwiecznego problemu-zagadki — że broni i żywi, a przecież — nie decyduje. Pogłębia więc samowiedzę o sobie. Budzi go żywe słowo o wielkim dorobku ludzkości w zakresie kultury materialnej i duchowej, oraz o rażących przerostach czasów współczesnych. Budzi go wreszcie instynktowny głód wiedzy, czy udział w długich dyskusjach na różne tematy nieraz przeciągające się do późnej nocy. Uniwersytet Wiejski w Bryskach, podobnie jak i inne tego typu istniejące w Polsce, ma to do siebie, że ludzie szybciej tu dojrzewają społecznie.

Na cmentarzysku dawnej niewoli chłopskiej i samowoli pańskiej odradza się, jak legendarny feniks z popiołów, nowy człowiek wsiowy. Odtrącony w szarość i trud, wydziedziczony z kultury, dla której tylko same ofiary ponosił, on twórca naszego języka, naszego budownictwa, naszej muzyki, pracownik bezinteresowny i żołnierz nieznany, zgłębia teraz w sobie wielkie prawo życia przez ofiarę i trud. Raz po raz zapuszcza się całą duszą w przepaść społecznego myślenia i dostrzega tam siebie w roli pracownika-bojownika. Widzi, jak masa chłopska dźwiga na swych barkach cały tobół błędów niedawnej przeszłości, których — nie popełniła. Patrzy na to wszystko, słucha i rozumuje, a z tej obserwacji i z tego doświadczenia bolesnego, rodzi się niezwalczona siła woli przeorganizowania życia zbiorowego w państwie na nowych podstawach.

Uniwersytety ludowe usiłują wprowadzić chłopa w Polskę i uczynić go niewzruszonym fundamentem jej wielkości i potęgi.

Ale cóż, kiedy inni widzą tę wielkość w utrzymaniu wielkich obszarów ziemskich i wielkiego wyzysku pracy, a my — w reformie rolnej i w skróceniu czasu pracy; jedni chcieliby podźwignąć Polskę wzwyż przez procesy kapitalizacyjne, przez najwyższe dochody, wyzyskanie koniunktury, podnoszenie cen i deflację — a my przez zatrudnienie wszystkich i możność zaspokojenia wszelkich potrzeb; jedni widzą jej wielkość w ograniczaniu prawd dla ludzi pracy, a my w równości powszechnej i wolności obywatelskiej.



Uniwersytet Ludowy w Bryskach

●

20 b. m. odbyło się w Bryskach uroczyste zakończenie pierwszego kursu a zarazem poświęcenie Uniwersytetu. Na uroczystość tę przybyli z Warszawy min. Poniatowski z dyr. Krzyczkowskim i z Łodzi wojewoda H. Józewski w towarzystwie nacz. St. Wrony.

W związku z tym drukujemy artykuł o Bryskach kierownika Uniwersytetu. *(Red.)*



Świetlica — czytelnia

ŁÓDŹ I OKOLICE

Jan Augustyniak

Pod tym tytułem ukazała się w ostatnich dniach praca dr. Jana Dylika, który postanowił dać mieszkańcom naszego miasta i tym, którzy zechcą jako turyści tutaj przyjechać, dobry przewodnik po Łodzi i po jej bliższych i dalszych okolicach. W przedmowie autor wyjaśnia, że jest to przewodnik podstawowy, który różni się od zwykłych przewodników tym, że, niezależnie od typowych informacyj, spotykanych w wydawnictwach tego rodzaju, zawiera jeszcze wiadomości ogólne, nadające książce charakter monografii.

Zgodnie więc z tym założeniem treść przewodnika omawia geograficzne po-



Domek z epoki Łodzi rolniczej

łożenie Łodzi w Europie i na tle Polski, daje obraz osadniczy podłódzkiego obszaru, obraz komunikacyjny, oraz położenie topograficzne naszego miasta. Dalej wiadomości ogólne opisują rozwój terytorialny miasta, dają rzut oka na jego dzieje, charakteryzują przemysł i jego współczesną produkcję, handel, ludność, budownictwo i życie kulturalne Łodzi.

W rozdziałach dalszych, stanowiących istotną część przewodnikową, autor układa wędrówki po Łodzi, wycieczki w okolicy bliższe i wycieczki dalsze.

Program wycieczek na terytorium miejskim daje szczegółowy opis: Starego i Nowego miasta, dawnej osady Łódki, wielkoprzemysłowego pasa południowego, dawnej osady czeskiej i śląskiej, dzielnic — północnych, wschodnich, południowych i zachodnich. Dla celów ściśle praktycznych zwiedzanie miasta ujęte jest w dokładne trasy.

Wycieczki podmiejskie przewidują następujące kierunki: do Mileszek, Nowosolny, Brzezin i Lisowic; do Strykowa przez Nowosolną, Plichtów i Skoszewy; do Łagiewnik, do Białej — przez Zgierz, Dąbrówkę i Strumiany; do Wodzierad przez Konstantynów, Lutomiersk i Mikołajewice; do Rudy Pabianickiej przez Chojny, Górki Stare, Starową Górę, Gospodarz i Gadkę Starą; do Górek Dużych przez Rzgów, Tuszyn i Żeromin; do Łasku, Będkowa i do Gałkówka.



Domek dawnych rękodzielników



Architektura dworkowa dawnych pałacyków fabrykantów łódzkich

Z wycieczek dalszych autor zaleca i opisuje wycieczki: do Łęczycy i Tumu, do Tomaszowa Mazowieckiego, Niebieskich Źródeł i Spały; do Piotrkowa i Sulejowa i nakoniec do Sieradza.

Treść książki uzupełniają bogate wskazówki bibliograficzne, dokładny spis ulic Łodzi, 2 mapy części miasta oraz 87 ilustracyj w tekście.

Przechodząc do uwag krytycznych należy podkreślić trafną metodę opracowania, polegającą na tym, że autor odmalował najpierw rzeźbę obszaru Łodzi i okolicy, na tym tle narzucił rysunek miasta, opisał potem zajęcia mieszkańców, przez co wykazał związek między poszczególnymi elementami krajobrazowymi i dał obraz miasta w ujęciu dynamicznym. Połączenie geografii z historią, pochód osadnictwa, zmiany form administracyjnych, jakim Łódź podlega-



„Biała fabryka" Geyera

ła, stare dzielnice, wycieczki poza miasto — oddają Łódź taką, jaką ona jest, a jednocześnie taką, jakiej nikt dotąd w całości nie widział i której istnienia sobie nie wyobrażał. Poszczególne dziedziny współczesnego życia naszego miasta jak: przemysł, handel, ludność, budownictwo i życie kulturalne opisane są nie tylko ze stanowiska ich stanu dzisiejszego, lecz poprzedzone są zarysem rozwoju historycznego, — przez co czytelnik i turysta, patrząc na Łódź współczesną, ma jednocześnie ułatwiony wgląd w przeszłość i niejedno zjawisko dzisiejsze, porównane z obrazem jego z ubiegłych lat, nasunie ciekawe refleksje na temat tych zmian w życiu człowieka i miasta, jakie tworzy czas i historia.

Szczególne uznanie budzą rozdziały poświęcone wędrówkom po Łodzi i po-

NADESŁANE

Julian Krzyżanowski. Od średniowiecza do baroku. Studia naukowo-literackie. „Rój" W-wa 1938

Julian Krzyżanowski. Władysław St. Reymont. Twórca i dzieło. Wyd. zakładu narodow. im Ossolińskich Lwów 1937.

Jan St. Bystroń. Literaci i grafomani z czasów Królestwa Kongresowego. Książnica-Atlas Lwów-Warszawa 1938

Jan Dylik. Łódź i okolice. Przewodnik geograficzny. Nakł. Zarządu Miejskiego w Łodzi. Łódź 1939.

Marchołt Rok V — nr 2 (18). Listopad — grudzień 1938

Kamena

Skawa. Dwumiesięcznik liter. pod red. J. Brzostowskiej. Rok I nr I. Listopad — grudzień 1938

Jerzy Pietrkiewicz. Wiersze i poematy. „Prosto z mostu". Warszawa 1938

Janusz A. Rymsza. Szepty w rzece. Warszawa 1939

Bolesław Leśmian. Dziejba leśna. Tow. Wydawnicze Warszawa 1938

Świętopełk Karpiński. Poemat o Warszawie. Tow. Wydawnicze. Warszawa 1938.

Aleksander Rymkiewicz. Potoki. Skł. gł. Tow. Wydawn. 1938

Kazimierz Wierzyński. Kurhany. Tow. Wydawnicze Warszawa 1938

Jan Śpiewak. Wiersze stepowe. F. Hoesick. Warszawa 1938.

Julian Demczyk. Tworzę życiorys. Bibl. „Okolicy poetów". 1938.

Wiadomości literackie

Fryderyk Bertisch. Kwiaty na ugorze. Stanisławów 1939

Okolica poetów

Gromada wiejska

Comoedia

Miron S. Rozwar. Śpiewy pomorskie Poznań 1939

Nasz wyraz

Kultura

Fontana

Sprawy otwarte. Dwutygodnik kulturalno-społeczny.

Chrobra Polska

Czarno na białem

Kronika Polski i świata

Giacomo Leopardi. Poezje Inst. wyd. „Biblioteka Polska". Warszawa 1938

Stanisław Piętak. Obłoki wiosenne. F. Hoesick, Warszawa 1938.

za Łódź. Gruntowne wykształcenie geograficzne, jakie autor posiada, pozwala mu co krok tłumaczyć nam związek zachodzący między życiem i rozwojem Łodzi a rzeźbą ziemi, na której to dziwaczne miasto wyrosło. Niejeden fakt z ulicy łódzkiej, niezrozumiany dotąd nie tylko przez szarego obywatela, lecz i przez inteligentnego laika, staje się teraz jasny a przez to tym bardziej ciekawy.

Bogactwo informacyj geograficznych sypie się na czytelnika jak z rogu obfitości, z chwilą, gdy autor wychodzi poza miasto i kreśli szlaki wycieczek do miejscowości podmiejskich i dalszych. Widzi się tutaj wyraźnie, że zamiłowany turysta nie opisywał tych dróg, wód, pól, lasów, wyżyn, wsi i miasteczek na podstawie lektury, lecz, że całą tę przestrzeń krok za krokiem przemierzył własnymi nogami i to na pewno nie raz, notując jako wnikliwy obserwator wszelkie osobliwości przyrodnicze i historyczne.

Opis miejscowości, rozrzuconych wokół Łodzi, daje książce charakter pełności. Czuje się wyraźnie, że bez tych okolic, treść, ograniczona tylko do samej Łodzi, byłaby uboga. Przywykliśmy w przewodnikach czytać opisy rzeczy starych i nadzwyczajnych. Łódź zaś w swojej przeszłości i w przejawach dnia codziennego ani b. stara, ani także nadzwyczajna nie jest. Ten pierścień zabytkowych okolic Łodzi, starszych od niej samej, robi wrażenie dostojnej ramy, okalającej nowoczesny obraz. Kościoły, grodziska, klasztory, resztki zamków i osobliwości przyrodnicze opisane są ciekawie z podaniem wiadomości, dla szerokiego ogółu niejednokrotnie rewelacyjnych.

Specjalne pozycje w recenzji należy wyznaczyć dla map i planów dołączonych do przewodnika i zamieszczonych w tekście. Różnobarwne plany Łodzi są ciekawie ilustrowane i dają wszelkie wskazówki orientacyjne i praktyczne dla turystów. Dużą wartość naukową posiada oryginalna, różnobarwna mapa „okolic Łodzi, krajobraz fizyczny i szlaki ciekawych wycieczek". Jest to mapa warstwicowa z zaznaczonymi miastami i miejscowościami, które są połączone siecią różnorodnych komunikacyj. Oryginalne również i bardzo ciekawe są pomniejsze mapy w tekście jak: osadnictwa podłódzkiego, rozwoju komunikacji w okolicach Łodzi i dzielnic historycznych miasta. Wykresy odnośnie różnych dziedzin życia uzupełniają treść materiałem statystycznym.



Typowe budownictwo na Bałutach

Na pochwałę zasługuje staranny dobór fotografii, które w kilkudziesięciu ilustracjach ożywiają tekst przewodnika. Wszystkie najciekawsze i typowe dla Łodzi i jej okolic zjawiska uchwycone są przez obiektyw fotograficzny z właściwej strony.

Nie trzeba dodawać, że książka dr. Jana Dylika jest wydawnictwem pożytecznym. Syntetycznych dzieł o Łodzi nie ma prawie wcale. Omawiany przewodnik jest dobrym zaczątkiem tego rodzaju poważnych o naszym mieście wydawnictw.

Książka wydana została sumptem Zarządu m. Łodzi, mającego do usiłowań naukowych stosunek życzliwy. Myśl wydania tego rodzaju publikacji zrodziła się w atmosferze wzrastającego zainteresowania się Łodzią i jej przeszłością, którą to atmosferę wytworzył wieloletnią sumienną pracą zespół członków Oddziału Łódzkiego Polskiego Towarzystwa Historycznego.



Kościół w Mikołajewicach

WIEDZA O POLSCE

Bardzo estetycznie wydała **„Biblioteka Polska"** francuską monografię o Wilnie. Przyjemny format, dobry papier, czysty czytelny druk, wiele fotografij w wykonaniu J. Bułhaka, Poddębskiego i in. oraz ryciny, przedstawiające dawne Wilno — złożyły się na całość wysoce kulturalną i pociągającą. Sądzę, że książka — tytuł po prostu **„Wilno"** — spełni właściwą rolę wśród cudzoziemców przybywających do Polski i za granicą. Treść pióra **R. Przeździeckiego** ma jasne linie przewodnie i rozbita jest na dwie zasadnicze części: miasto romantyczne (opis — monografia) i przechadzki po Wilnie. Ta druga rzecz nosi charakter przewodnika i zapoznaje z zabytkami (kościoły, kaplice, klasztory, zamek), z ciekawostkami śródmieścia, prowadzi na skraje i dalej obejmuje Rossę, Antokol, nowe dzielnice, wreszcie okolicę miasta.

Monografię o rzymskiej t. ż. południowo-wschodniej ziemi Polski **K. Maleczyński, T. Mańkowski, E. Pohorecki** i **M. Tyrowicz** wydali **w Państwowym Wydawnictwie Książek Szkolnych** pracę zbiorową p. t. **„Lwów i ziemia czerwieńska"**. Autorzy potraktowali zadanie swoje w sposób encyklopedyczny, dając wieloraki zarys dziejów opisywanej ziemi od zarania aż do dni dzisiejszych. Bogactwo materiału informacyjnego jest



Swiątek w Czarnocinie

tu duże i nauka stąd płynie bezsporna: czytelnik przekonywuje się, ile wkładu pracy i krwi w tę ziemię dokonali Polacy; stąd jest ona polska z najgłębszego związku. — Całość dobrze ilustrują liczne fotografie. Druk tylko jest za drobny i za bardzo ubity, utrudnia czytanie. A przecież chodzi o to, by książka ta dostała się do rąk możliwie wielu. **L. W.**

ZJAZD PISARZY NA ZAOLZIU

W dniach 4—6 marca b. r. odbył się na Zaolziu zjazd pisarzy polskich, mający na celu zamanifestowanie łączności literatury naszej z odzyskaną ziemią.

W zjeździe wzięło udział kilkudziesięciu pisarzy z delegatami Ministerstwa W. R. i O. P. i Polskiej Akademii Literatury na czele.

Uroczystości rozpoczęły się dnia 4 b. m. w Cieszynie. Zagaiły je przemówienia, które wygłosili: burmistrz Halfar, wojewoda śląski Grażyński, nacz. Departamentu Sztuki w Min. W. R. i O. P. Faustyn Dzik, prezes Zw. Zaw. Literatów Polskich F. Goetel.

W części literackiej otrzymali słuchacze przegląd poezji polskiej w ciągu lat ostatnich.

Część koncertowa zaprezentowała wybitnych artystów polskich.

Po akademii nastąpiło zebranie towarzyskie w sali hotelu „Polonia", na którym pisarze zetknęli się z przedstawicielami społeczeństwa polskiego na Zaolziu.

Nazajutrz uczestnicy Zjazdu udali się samochodami do ośmiu miejscowości na Zaolziu: Jabłonków, Trzyniec, Frysztat, Karwina, Bogumin, Orłowa, Cierlicko Górne i Sucha Średnia. Wszędzie tu odbyły się poranki literackie.

Trzeciego dnia pisarze udali się do Katowic, gdzie wreszcie nastąpiło zamknięcie Zjazdu.



Dom klasycystyczny przy Placu Wolności w Łodzi

Juliusz Kaden-Bandrowski. Wspomnienia i nadzieje. Gebethner i Wolff. Warszawa 1939. Str. 143

Trafny bystry tytuł. Najbardziej zaś przekonywuje, że to właśnie Kaden wydał w 20-lecie odzyskania niepodległości artykuły publicystyczne i rozważania, które rzekłbyś toczą się jeszcze pasją walki. Jego nazwisko jak żadne w takim stopniu zrosło się z epoką o określonym duchu — epoką zmagań. Stąd osobowość pisarska wzięła swój płomień, którym Kaden dotąd niewygasłe goreje. Styl zaczerpnął z tamtych dni pewnego rodzaju ekstatyzm walki. I choć nie ma wrogiej nawały u granic, choć granice same mieczem wywalczono i utwierdzono, walka trwa nadal. Kaden sam to najlepiej określa: „Ojczyzna — powiada — to nie jest tylko ziemia od jednych granic po drugie osiągnięta, lecz tworzenie przeciw niemocy własnej i na przekór warunkom niewdzięcznym i w surowym ujarzmieniu samego siebie".

Właśnie, w surowym ujarzmieniu samego siebie.. Proza Kadena ujarzmia w ciągłym nieustannym wysiłku to wszystko, co wzburzonym nurtem przewala się przez niego — czy to będzie twórczość „poważna", czy szorstkie a czułe pochylenie się nad młodzieżą, czy publicystyczna uprawa dnia, czy koleżeńska dorada młodym kolegom..

I w książce omawianej ludzie oraz epizody wydarte zostały, wyszarpnięte jak gdyby prawu przemijania: pisarz powstrzymuje je słowem, żywioł jego pasji zmaga się z żywiołem płynnego trwania. Stąd wyłaniają się utrwalone wspomnienia i postaci najbliższe (Mączka, Piotr Choynowski, Strug i in.); przychodzi też — w zrozumiałym wniosku — życzenie, by ta zdobywcza sztuka podjęta została przez młodych. „Niech nie patrzą ani nie liczą szczegółowo, jakie narzędzie dostali, lecz co osiągnąć winni".

Więc odwróciwszy kartę historii jesteśmy już w Polsce odrodzonej. Synowie Piłsudskiego w obozie junaków czy gdzie indziej trudzą się, mozolą, kopią rowy, uczą się nieść służbę żołnierską. Uczą się nowej zdobywczości. Ożywiają ich nowe nadzieje. Nowe. Niezmienny jest tylko hart, upór aż do ostatniej kości i wola zwycięstwa.

Zofia Kossak. Trembowla. Księgarnia św. Wojciecha. Poznań 1939. Str. 330. — Tejże autorki. Warna. Biblioteka Polska. Warszawa 1939. Str. 136.

Obie wymienione powieści nawiązują swym charakterem do wcześniejszego okresu w twórczości Kossak Szczuckiej, którego ówczesnym ukoronowaniem były „Złota wolność" i „Legnickie pole". Są historyczne. Zwłaszcza „Trembowla" wskazuje na dobre tradycje i powinowactwa; w istocie rozmiłowanie w junactwie rycerskim, w bujności form życia w dawnej Rzeczypospolitej łączą Zofię Kossak z Sienkiewiczem. Największa to dziś przedstawicielka powieści historycznej polskiej; do tego świadoma swego powołania, swej misji ukazywania nie tylko dziejów, ale i ich wewnętrznego sensu. Czyni to z żarliwością i z głębią przekonania.

Tu dotykamy istotnej strony twórczości Zofii Kossak i związku też z poprzednim cyklem, najbardziej rozżarzonym wiarą w „Krzyżowcach" i „Bez oręża". Ów żar nie wygasa i w „Warnie", nadaje powieści jednolitą postawę, specjalne brzmienie ideologiczne i usprawiedliwić też może te zastrzeżenia, jakie obudzić się mogą w historyku „integralnym".

Co do „Trembowli" wydaje mi się, iż autorka wkłada niekiedy w tamte czasy za dużo dzisiejszej świadomości historycznej. Czyni to wrażenie, jak gdyby materiał powieściowy zapożyczony był miejscami u dydaktyka. Trzeba było też zdać trochę na „mądry nierozum" sztuki.

Michał Rusinek. Ziemia miodem płynąca. Książnica Atlas. Lwów 1939. Str. 312.

Tytuł oznacza tu postulat powieści: ziemia prawdziwie powinna dać każdemu szczęście, płynąć miodem. Te nadzieje i wiary żywią w sobie bohaterowie Rusinka — u startu życia. Wiosna młodości. Młodzi chłopcy przedzierają się z siłą i werwą przez bujność życia, porywa ich pęd pragnienia. Lecz tu rozpoczynają się dzieje, tak charakterystyczne dla dzisiejszego przełomu. Bohaterowie książki przechodzą twarde codzienne koleje. Jednych niesie w topiel sztucznego szczęścia, innych w złotodajne koryto dorobkiewiczostwa i kariery, niewielu tylko zachowało młodzieńcze ideały, ale i ci błądzą. Ziemia miodem płynąca? Nie osiągnie się jej, gdy przygasa żar wewnętrzny, treść ideowa.

W postawieniu tego problemu leży moralne znaczenie ostatniej powieści Rusinka.

Wanda Brzeska. Sprawa gminy Ceynowy. Książnica Atlas. Lwów. Str. 268.

Powieść o założeniach historyczno-obyczajowych zapoznaje nas z życiem Kaszubów w jego dawnej krasie etnograficznej. Motywem akcyjnym jest tu autentyczny wypadek, jaki zdarzył się w połowie ub. wieku, o czym też mówią materiały sądowe: pławienie czarownicy na półwyspie helskim. Wszystkie momenty psychologiczno-obyczajowe tej sprawy oddaje Brzeska wnikliwie i z dużą sztuką pisarską. Tło morza, wreszcie język dialektyczny w dialogach wprowadzone zostały nader umiejętnie.

Ogółem ciekawy wkład do literatury pomorskiej, wartościowy debiut.

Bogusław Kuczyński. Starzy ludzie. Gebethner i Wolff. Warszawa 1939. Str. 204.

Środowisko zawarte w tej powieści wypełnia margines egzystencji: ludzie o niepewnej sytuacji materialnej, rodziny, w których mężowie i żony odchodzą i wracają, córki, które staczają się do szeregów prostytutek, synowie, którzy uciekają z domu, wykolejają się i chwytają się zbrodni. Życie tu powtarza się i odnawia w stereotypowych gestach urodzin, chorób, śmierci, upływa w monotonii, której nie przerywają ani miłość, ani przebywanie w więzieniu czy szpitalu.

Powieść biegnie chronologicznie, upływem czasu, ogołoconym jednak ze znaczeń — od dzieciństwa już zwarzonego, starczego do starości.

Ciekawa książka jako wyraz świadomego naturalizmu psychologicznego.

Jan Stanisław Bystroń. Komizm. Książnica Atlas. Lwów. Str. 530.

Nowa praca popularnego socjologa stara się odpowiedzieć na pytanie, czym jest komizm, i gromadzi w zakresie tego zagadnienia wyczerpujące przykłady. Bystroń pojmuje komizm jako odchylenie od poprawności logicznej i konwencjonalnej.

Bogaty i obrazowy materiał czerpił autor wyłącznie ze źródeł polskich, toteż dzieło jego stanowi jednocześnie oryginalnie pomyślaną antologię polskiej twórczości komicznej na przestrzeni kilku wieków.

Trzeba podkreślić bogactwo szaty zewnętrznej, wspaniały układ graficzny dr H. Piekarskiego, winiety i przerywniki art. mal. Wł. Bartoszewicza.

Dzieło zawiera nadto cały zasób ilustracyjny — od starannie wykonanych karykatur i obrazków rodzajowych do lekkich pociągnięć piórkiem.

Jan Wiktor. Błogosławiony chleb ziemi czarnej. Książnica Atlas. Lwów 1939. Str. 448.

Nowa książka rdzennego pisarza wsi i znawcy ludu, jakim okazał się Wiktor już w „Wierzbach nad Sekwaną", „Orce na ugorze" i artykułach publicystycznych, wprowadza nas w splot aktualnych zagadnień, związanych ze wsią polską, a zarazem poprzez dzisiejszą kulturę duchową i materialną ludu polskiego sięga do prahistorii naszych praojców w Prasłowiańszczyźnie.

Tym podwalinom poświęcona jest pierwsza część książki. Oczami poety patrzymy na Biskupin, na szczątki, świadczące o wysokim poziomie kultury materialnej naszych słowiańskich praojców i zdumiewamy się nad ich pomysłowością w budownictwie mieszkalnym i obronnym, nad ich narzędziami pracy, sprzętami kuchennymi i zdobnictwem.

Piękne i prastare obrzędy ludowe (do których opisu przechodzi Wiktor następnie), sięgające swymi pierwiastkami czasów najdawniejszych, uzupełniają ten skarb, przekazany nam przez dawność.

Troska o stare wartości duchowe wsi polskiej każe pisarzowi szczególnie pilnie przyjrzeć się nowszym czasom i nurtującym wieś kryzysom. Z tych obserwacyj składa się część trzecia książki. Problemy dzisiejszego przesilenia na wsi, osadnictwa, szlachty zagrodowej, reformy agrarnej, uproduktywnienia małorolnych gospodarstw, kwestie oświaty i zdrowotności na wsi znajdują szerokie oświetlenie w obrazkach, zebranych niemal z całego obszaru Polski.

Tadeusz Żeleński-Boy. Murzyn zrobił.. Towarzystwo wydawnicze „Rój". Warszawa 1939. Str. 283.

Siedemnasty tom recenzyj teatralnych, zatytułowany tak od znanego powiedzenia w sztuce „Fiesco" F. Schillera (której recenzja otwiera właśnie książkę), zbiega się z dwudziestoleciem działalności Boya jako krytyka i czułego miłośnika teatru. Dwadzieścia lat, tysiąc blisko oglądanych sztuk swoich i obcych, kompendium całej niemal literatury dramatycznej polskiej, wędrówka wszerz i wzdłuż przez kraje i wieki.

Z wrażeń w tym dość długim czasie powziętych dałoby się wyłuskać kilka fundamentalnych monografij o sztuce scenicznej. A przecież pisarz potrafił zachować niezbędną świeżość, która pozwala czytającym recenzję sztukę widzieć, wzruszać się nią, żyć. Ten bezpośredni stosunek zawdzięcza Boy temu, że jest integralnym, że tak powiem widzem, dla którego scena stanowi zawsze żywy i przejmujący wycinek życia. Tu śledzi pisarz mechanizm praw, prądów, przemian, grę każdego czasu.

Jednocześnie umysł Boya pracuje bez przerwy i na marginesie najbłahszej nawet sceny kojarzy, rzuca refleksjami, ironizuje, prześwietla, jednym słowem nie tylko poddaje się sztuce, ale tropi jej sens z pasją dociekliwą i odważny bezkompromisową.

Dodajmy teraz do tego ekstraktu formę słowa, ulotną a precyzyjną, żartobliwą niekiedy a rzeczową — a otrzymamy jeszcze jedno wytłumaczenie walorów krytyki teatralnej Boya.

„Murzyn zrobił swoje..." czyta się z równym zainteresowaniem co tomy poprzednie. Boy tu taki samiuteńki, ale że dobry — więc i tym razem lektura jego recenzyj daje satysfakcję.

Andrea Majocchi. Żywot chirurga. Książnica Atlas. Lwów 1939. Str. 360.

Rzecz szczególna: im bardziej zakłamane jest życie i załgany świat, z tym większą zaciekłością atakuje książka człowieka, obnażając

w nim codzienną treść. Po prostu wyprowa wszystko co najbardziej „autentyczne", brutalne i proste, bez retuszu i skrzywień. Z tego kręgu książki cieszą się największą poczytnością, mogą nawet nie mieć zamierzenia artystycznego. Nie szkodzi: mają widać jakiś cenny wartości, skoro nie dają się tak szybko zepchnąć przez inne sukcesy.

Od czasu do czasu wybłyskuje taki niepisarski debiut. Teraz znowu chirurg opisał swoje życie, doczekał się w ojczyźnie (Włochł) aż 10 wydań, obecnie jest tłumaczony na wszystkie prawie języki europejskie. Więc pojawił się też i przekład polski.

Słynny chirurg uniwersytetu i ordynator szpitala w Mediolanie chwycił za pióro, by opowiedzieć ciężkie lata młodości, podróże po Europie i Ameryce (chirurgiczne!), wreszcie okres powodzenia i triumfu, ale niemniej odpowiedzialnej pracy.

Pół wieku rozwoju chirurgii, współpraca z najwybitniejszymi lekarzami Italii i Europy, wielka wojna i piekło lazaretów, okres powojennych zmagań Włoch a z drugiej strony zagadnienia natury moralnej, społecznej i religijnej, tak silnie związane z życiem każdego lekarza, oto tematy przesuwające się przed czytelnikiem.

Uparte zmaganie się ze śmiercią zostało opowiedziane w sposób najprostszy — i to właśnie stanowi główny walor książki.

Wilhelm Speyer. Historia jednej nocy. Towarzystwo wydawnicze „Rój". Warszawa 1930. Str. 217.

Powieść o typowej fabule kryminalnej, przeprowadzona jednak konsekwentnie, z prawdopodobnością psychologiczną. Autor umiejąc banalną potrafi zaciekawić czytelnika i dociągnąć akcję w sposób udany do końca. Oczywiście, nie ma w tym wszystkim większych ambicyj ani zdobyczy. Ale jeśli weźmiemy pod uwagę, że istnieje w masach czytelniczych głód sensacji, to już lepiej, że zaspokaja się go na poziomie poprawnym. Stąd też i miejsce w naszym przeglądzie na Speyera.

G. T.

Z ŻYCIA ŁODZI

OSTATNIE MIESIĄCE MUZYCZNE

Obraz życia muzycznego w ostatnim czasie dał wiele materiału do zanotowania.

W Filharmonii odbył się 8 grudnia ub. r. koncert z udziałem dyrygenta Kurta Pahlena i pianistki Agi Jambor. Występ szumnie reklamowany zawiódł nadzieje słuchaczy, gdyż młody dyrygent poświęca za wiele uwagi stronie zewnętrznej dyrygowania, wskutek czego nie panuje należycie nad orkiestrą. Również część interpretacyjna pozostawiła wiele do życzenia i odniosło się wrażenie, że zespół chwilami nie rozumiał swego przewodnika. Pianistka Agi Jambor, która wykonała z towarzyszeniem orkiestry koncert Beethovena, wykazała dużą muzykalność i doskonałą technikę palcową.

Ewenementem ostatniego okresu był trzeci koncert symfoniczny w sali Y. M. C. A. z udziałem znanego dyrygenta Olgierda Straszyńskiego oraz Barbary Kostrzewskiej, artystki opery warszawskiej. Na program złożyły się utwory Rossiniego, Verdiego, Glinki, Rachmaninowa, Rimskij-Korsakowa, Moniuszki i Statkowskiego. Prelekcję wygłosił Roman Iżykowski. Orkiestra symfoniczna Zw. Muz. Chrześcijan poczyniła ogromne postępy, a produkcja stała na wysokim poziomie, oczywiście dzięki utalentowanemu dyrygentowi, jakim jest Straszyński, który mimo młodego wieku ma za sobą bardzo poważne sukcesy artystyczne. Panuje on doskonale nad zespołem i wkłada w pracę zapał, tak ważny dla dyrygenta. Jeśli zaś chodzi o B. Kostrzewską (śpiew), to poza drobnymi usterkami intonacyjnymi (w pieśni „Hymn do słońca" Rimskij-Korsakowa, zresztą trudnej do wykonania) wywiązała się znakomicie ze swej roli, posiada ona głos dobrze wyszkolony i interpretuje pieśni bardzo muzykalnie i ze zrozumieniem. Śpiew jej porywa widownię, pełen siły, wdzięku i czaru kobiecego. Sprawia, że słuchacz wraz z artystką wstępuje w zaczarowany krąg muzyki. Najbardziej udanym numerem programu było „Pieśń gruzińska" Rachmaninowa.

Na podkreślenie zasługują niedzielne audycje robotnicze Rozgłośni Łódzkiej, nadawane często na całą Polskę. Udział w nich biorą różne zespoły chóralne i orkiestrowe; na pierwszy plan wybija się produkcja chóru Zjednoczonych Zakładów Włókienniczych i orkiestry robotniczej Zw. Muz. Chrześcijan.

Do ważniejszych i udanych audycyj radiowych w okresie Bożego Narodzenia należy zaliczyć występ solistki W. H. Sawickiej-Wyszkowskiej (śpiew), chóru „Harmonia" pod dyr. Karola Prosnaka, orkiestry salonowej pod dyr. Kiesewettera, oraz kolędy w ujęciu organowym w wykonaniu Wacława Piotrowskiego z Kościoła Matki Boskiej Zwycięskiej.

Rozgłośnia Łódzka nadała w dniu 4 stycznia b. r. recital Wdowczaka, stypendysty Zarządu Miejskiego, będącego od roku na studiach wokalnych we Włoszech. Repertuar obejmował pieśni i arie operowe włoskie. Wdowczak posiada dobry materiał głosowy jak również i prawidłową dykcję. Natomiast wykonanie pieśni pod względem intonacyjnym niezupełnie było w porządku, zwłaszcza w pierwszych utworach dało się zauważyć opadanie głosu, co nie harmonizowało z akompaniamentem fortepianu.

Produkcje kapeli ludowej pod kierunkiem Antoniego Makowskiego brzmieniem swoim jak i niekiedy repertuarem nie przypominają charakteru tego rodzaju zespołu, na co kierownik orkiestry powinien zwrócić uwagę. Kapela ludowa jest do pewnego stopnia skrępowana wyborem utworów, a brzmienie jej nie powinno mieć typowego charakteru salonowego zespołu, bo czyż nie lepiej w takim razie zmienić nazwę orkiestry.



Znakomita artystka opery warszawskiej Barbara Kostrzewska

Na program poranku symfonicznego w dniu 15 stycznia b. r., urządzonego staraniem Zw. Zaw. Muz. Chrześcijan złożyły się utwory: Symfonia Schumanna, „Zaproszenie do tańca" Webera-Berlioza, uwertura do „Oberona" Webera, Ballada na fortepian z orkiestrą Faure'a, Wariacje na temat walca Schuberta—Liszta, oraz Karnawał Wiedeński Schumanna. Dyrygent Bautze kierował orkiestrą spokojnie i sprawnie, lecz może stosował nieco za wolne tempa w Symfonii. Jeśli chodzi o orkiestrę, to zauważyłem, że skrzypkowie pierwsi na wstępie Symfonii grali nierówno, znak, że nie patrzyli na dyrygenta. To samo powiedziałbym o „Zaproszeniu do tańca" Webera.

Poza tymi usterkami orkiestra brzmiała dobrze i stwierdzić należy, że zmiany dynamiczne były równomiernie zachowane w całym zespole, jak również proporcje w brzmieniu poszczególnych instrumentów, a także całych grup, co świadczy o dużym postępie orkiestry.

Prof. J. Sulikowski wykazał precyzyjną technikę pasażową w Balladzie, która okazała się najbardziej odpowiadającą kompozycją jego indywidualności.

Dnia 5 lutego odbył się w Filharmonii wielki koncert muzyki klasycznej z udziałem Orkiestry Filharmonii Warszawskiej i solisty (skrzypka) i równocześnie dyrygenta Szymona Goldberga. Wykonano koncert skrzypcowy E-dur Bacha, koncert skrzypcowy A-dur Mozarta i septet Beethovena. Pomijając Goldberga, znanego już z wielu koncertów, należy podkreślić wysoki poziom artystyczny orkiestry warszawskiej, która brzmi idealnie i naprawdę Goldberg niepotrzebnie trudzi się dyrygowaniem. Mnie osobiście nie podobają się dwie tak ważne funkcje (solisty i dyrygenta) w jednej osobie, gdyż są to eksperymenty. Dyrygent jest bezsprzecznie zawsze potrzebny, chociażby dla tego powodu, by odciążał solistę od obowiązku dyrygowania, który może spokojnie, nie mając niepotrzebnego kłopotu, poświęcić się wykonaniu partii solowej. Przyznać trzeba, że wykonanie obu koncertów skrzypcowych, zwłaszcza A-dur Mozarta, było prawdziwą ucztą duchową. Goldberg rozporządza doskonałą techniką obu rąk. Orkiestra w akompaniamencie do tych koncertów miała pierwszorzędny poziom techniczny, ogromną muzykalność i rutynę. Gwoździem programu było wykonanie septetu Beethovena.

Dnia 12 lutego r. b. odbył się 5-ty z kolei poranek symfoniczny Zw. Zaw. Muz. Chrześcijan w sali YMCA z udziałem dyrygenta Olgierda Straszyńskiego i Michała Zabejdy Sumickiego (śpiew). Na program złożyły się utwory kompozytorów polskich i rosyjskich. Usłyszeliśmy uwerturę Moniuszki p. t. „Cudowna woda", nie wykonaną od przeszło 20-u lat, muzykę baletową do „Kumoszek Windsorskich" Moniuszki, Anhelli (poemat symfoniczny) Ludomira Różyckiego, pieśń Żeleńskiego, Paderewskiego, Czajkowskiego i Rimskij-Korsakowa.

Straszyński jako dyrygent opracowuje program orkiestrowy jak najstaranniej, daleki od tanich efektów, jak np. Kurt Pahlen. Orkiestra pod jego batutą i tym razem odznaczała się

poważną dyscypliną zespołową i naprawdę podkreślić należy, że poranki symfoniczne Zw. Zaw. Muz. Chrześc. pod takim kierownictwem są bezsprzecznie najbardziej wartościowymi pozycjami w życiu muzycznym Łodzi. Solista koncertu, Michał Zawejda-Sumicki (tenor), dobrze znany radiosłuchaczom, dysponuje niezbyt silnym głosem, ale natomiast posiada bardzo dobrą szkołę i wielką kulturę.

Z. S.

WŚRÓD POLONISTÓW

Dnia 11 lutego 1939 r. odbyło się walne zgromadzenie Towarzystwa Polonistów R. P., oddział w Łodzi. Okoliczność ta skupiła licznych gości, w tej liczbie elitę kulturalną naszego miasta i szereg znanych osobistości z p. wojewodą H. Józewskim na czele.

Zagaił dyr. T. Czapczyński jako przewodniczący T. P., poczym sprawozdanie z działalności Oddziału za okres dwuletni złożyły: dr. St. Skwarczyńska i mgr. W. Wrzesińska. Jak wynika z tych relacyj, poloniści prowadzili ożywioną i pożyteczną działalność.

W dalszej części programu mgr. J. Z. Jakubowski wygłosił odczyt o St. Witkiewiczu jako człowieku i pisarzu.

Na zakończenie odbyły się wybory nowego zarządu, w którego skład weszli: dr. doc. St. Skwarczyńska (prezes), mgr. J. Z. Jakubowski (wiceprezes), mgr. M. Romankówna (sekretarz I) oraz inni.

G. T.

ODCZYT KS. JAKUBISIAKA

Dnia 23 lutego r. b. w sali Państwowej Biblioteki Pedagogicznej odbyło się posiedzenie połączonych sekcyj naukowych Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Łodzi, na którym ks. dr. Augustyn Jakubisiak wygłosił odczyt p. t. „Zniekształcenie rzeczywistości przez formalizm filozoficzny". Odczyt zgromadził licznych słuchaczów i wysłuchany był z dużym zainteresowaniem.

Dnia 21 lutego r. b. ks. profesor Jakubisiak mówił w dalszym ciągu na tenże temat.

WYSTAWA OBRAZÓW

Dnia 26 lutego r. b. w Miejskim Muzeum Historii i Sztuki im. J. i K. Bartoszewiczów nastąpiło uroczyste otwarcie wystawy obrazów, ofiarowanych gminie miejskiej Łódź przez znanego i rozmiłowanego w sztuce przemysłowca ś. p. Karola Rajmunda Eiserta. Zbiory zawierają prace mistrzów włoskich, flamandzkich, holenderskich, niemieckich i polskich. Wystarczył ogólny rzut oka, by się przekonać, że ofiarowana kolekcja posiada wysoką wartość. Taka zresztą jest opinia specjalistów — uczonych polskich i zagranicznych.

W jednym z następnych numerów „Wymiarów" umieścimy reprodukcje kilku obrazów oraz artykuł, informujący o całości wystawy.

PRZEGLĄD PRASY

„Z komedii Morstina bije wielkie umiłowanie Hellady, bez którego nie podobna zrozumieć wielu utworów tego świetnego poety humanisty". Tak zaczyna w 8 (281) numerze Pionu swoją recenzję Roman Kołoniecki. Chodzi o najnowszą sztukę Morstina pod tytułem „Obrona Ksantypy". Otwiera się od razu przed nami bardzo poważny problem teatralny, okazuje się oto, że można wskrzesić urok starożytności, zawarty w filozofii i rozważaniu. Z tego też powodu Tadeusz Zieliński w 10-tym numerze Wiadomości Literackich z entuzjazmem niemal wyraża się o sztuce. Wybacza nawet pewne odstępstwa i nieścisłości, główny akcent kładąc na odtworzenie greckiego ducha.

Znakomita sztuka Morstina nie znalazła uznania w oczach Stanisława Piaseckiego, między innymi napisał on w recenzji: „Niezbyt udaną wydaje mi się także postać samego Sokratesa. Po jakiego licha na ten przykład wprowadza Morstin motyw groteskowego tańca mędrca, nie harmonizujący z własną koncepcją postaci? Czy dlatego, że Tuwim napisał kiedyś „Sokratesa tańczącego?" U Tuwima miało to uzasadnienie w atawistycznym, żydowskim, identyfikowaniu mędrca greckiego z mełamedem, z takim samym tańczącym mełamedem, jakiego opisuje Orzeszkowa w „Meirze Ezofowiczu" i jakiego znamy z pysznych ilustracyj Andriollego. Że dla Tuwima Sokrates — to mełamed, nie można się dziwić. Ale Morstina? Tak już bardzo przejął się atmosferą?"

Julian Tuwim potraktował Piaseckiego jako nieuka. W artykule „Czy Sokrates był mełamedem?" tak oto zawiadamia redaktora „Prosto z mostu".

1) Nie należy i nie można przypisywać wszystkiego zasługom własnych swoich przodków, w tym wypadku — mełamedom. Był „na ten przykład" taki wojownik i literat starożytny Ksenofont (z ojca i matki czystej krwi Greczynów), autor wielu dzieł, m. in. „Uczty", gdzie „na ten przykład" Sokrates powiada: „Chyba nie wiecie, że ten oto Charmides niedawno zastał mnie raniutko tańczącego" — co Charmides, nic z Charmidesfeldami nie mający wspólnego, potwierdza.

„Po tego licha" wprowadził Morstin do sztuki taniec mędrca. Po tegoż licha i ja napisałem kiedyś o tańczącym Sokratesie. Niech sobie p. Piasecki przeczyta „Ucztę" Ksenofonta (istnieje polski przekład), a będzie wiedział. Przy sposobności niech też zajrzy do wspaniałej „Literatury greckiej" Tadeusza Sinki (t. I, cz. 2, str. 519). Znajdzie tam, bez mełamedycznych argumentów, wiadomości o stosunku Sokratesa do tańca, o „chęci odbywania takich ćwiczeń" oraz o wyliczaniu przez Sokratesa ich korzyści. Nie dla mnie więc jedynie jest Sokrates „tańczącym mełamedem", ale i dla Ksenofonta, nie mającego żadnych Ksenofonterfeldów w rodzinie.

2) Wypominanie mi atawistycznych żydowskich cech niech p. Piasecki pozostawi rdzennym Polakom, którym bynajmniej nie odmawiam prawa do rozstrząsania tej sprawy; nie neguję jej bowiem. Ale p. Piasecki sam jest żydowskim pochodzeniem „obciążony"; sam smoli, a mnie przygania; sam z mełamedów, a mnie nimi w oczy kole. Dałby temu raz pokój, bo się doprawdy ośmiesza.

3) Jaką to „atmosferą" przejął się Morstin tak bardzo? Pławowickim dworem? Antenatami, wśród których było paru poetów, a jeden z nich dużej miary? Bo jeżeli atmosferą pachciarzy i arendarzy, to znowu nie lekkopisa p. Piaseckiego, ani moją rzeczą jest robienie mu z tego powodu wyrzutów, jako że nasi (moi i p. Piaseckiego) praszczurowie trudnili się owymi funkcjami przy szlacheckich i magnackich dworach. Ale ja o tyle jestem w porządku, że Morstinowi „atmosfery" nigdy nie wypominałem.

To wszystko. Tylko jeszcze słówko. W noweli Prospera Mérimée „Carmen" przytoczone jest przysłowie cygańskie, brzmiące po francusku: „Tu es comme le nain, qui se croit grand quand il a pu cracher loin".

A teraz już ostatecznie i na pewno wszystko".

●

W lutowym numerze „Comoedii" znajdujemy fragment utworu Dygasińskiego pod tytułem „Książę pomorski pacyfista". Dalej znajdujemy ciekawy utwór Jerzego Stempowskiego „Teatr jako przedmiot masowej konsumcji". Bardzo istotne wydaje się nam następujące twierdzenie:

„W miarę wzrostu swej klienteli teatr współczesny uniezależnił się niemal zupełnie od publiczności znawców, wpadł natomiast w coraz większą zależność od poglądów swych opiekunów i doradców finansowych i od domniemanej opinii t. zw. szerokiej publiczności. Mówimy „domniemanej", ponieważ im publiczność ta jest szersza, tym różnorodniejszy jest jej behaviour i tym mniej posiada uchwytnych cech wspólnych. W końcowej fazie jej wzrostu stanie się ona przedmiotem idealnym, o którym nie można powiedzieć nic prócz tego, co znajduje się w jego definicji. To znaczy, że o wielkiej publiczności teatralnej nie będzie wiadomo nic więcej, jak tylko to, że chodzi do teatru. W tych okolicznościach mit „sztuki kasowej" i paniczny lęk przed sztuką niepopularną stają się przesłankami tego samego typu, jak te, którymi kierują się spekulanci giełdowi".

●

W 63 numerze „Sygnałów" znajdujemy ciekawy artykuł Mariana Czuchnowskiego. Już sam tytuł „Walka o teatr ludowy" wprowadza nas w istotę jego treści. Sprawa jest bardzo ważna. Dojrzewające z dnia na dzień masy ludowe potrzebują odpowiedniej formy życia artystycznego, w której mogły by wyrazić własną istotę. Z początku artykułu przytaczamy drobny fragment.

„Sprawa teatru ludowego, ściślej zaś — sprawa sceny chłopskiej i robotniczej, jest od wielu lat przedmiotem namiętnych sporów, walk, złośliwych żartów, drwin, łez i prawdziwych tragedyj, wlokących się jeszcze sprzed wojny, z okresu „Młodej Polski". Cóż łatwiejszego niż wykpiwanie ludowego teatru i cóż trudniejszego niż stworzenie wielkiego i prawdziwego teatru ludowego! Niestety, wielkość nie zawsze chodzi w parze z prawdziwością i nieraz wielki teatr nie jest prawdziwym teatrem ludowym, często może być jego zaprzeczeniem, karykaturą albo grobem efektownie oświeconym brylantami kinkietów.

W sprawę teatru ludowego, w zagadnienie sceny chłopskiej i robotniczej, wpryskują się różne, obce temu teatrowi składniki. Wszyscy biadają nad niskim poziomem scen chłopskich i robotniczych, piszą na ten temat uczone rozprawy, boleją nad prostackim, gruboskórnym repertuarem, nad lichotą sprzętu, budynków, reżyserii, ba, nawet postponują słuchaczy i domy ludowe ale nie postarają się, aby scena chłopska i robotnicza mogła się samodzielnie rozwinąć, rozróść i wyprostować. Teatr chłopski i robotniczy musi walczyć nie tylko o repertuar, aktorów, reżyserów, budynki, kostiumy, światło i szminkę ale jeszcze musi bić się z protektorami, z narzuconym repertuarem, z urzędami starościńskimi o zniżenie opłat od widowisk, o salę, o afisze, o słuchacza, o wolność i swobodę twórczą. Walczyć musi na dwa fronty. Jeden front — to jego własne braki, prymitywizm środków, sceny, materiału aktorskiego, repertuaru, drugi front — to walka o swobodne wyzyskanie tych skromnych możliwości, które posiada, t. zn. — własnej sztuki, własnej sceny, własnej reżyserii i własnej, czysto ludowej idei teatralnej".

Ostatni numer „Okolicy poetów" omawia 20 lat poezji polskiej i daje próbę antologii. Praca ta pod redakcją Stanisława Czernika zasługuje na szersze omówienie w osobnym artykule, wprowadza bowiem do oceny i klasyfikacji utworów poetyckich zupełnie nowe kryteria. Spotykamy na przykład podział poetów według ich pochodzenia klasowego lub narodowościowego. Nie wątpię, że pracą Czernika zajmą się poloniści, ale chyba nie w celu pochwalenia.

T. S.

Skrzynka do listów

TUPET ANONIMOWEGO „NAUKOWCA"

W numerze 2 „Odnowy" ukazał się artykuł p. Franciszka Łosia (?), który usiluje podważyć rzeczowość mego felietonu o L. Geyerze w nr. 7 „Wymiarów".

Na wstępie swego artykułu p. Łoś pisze: „Felieton, mimo zachwytliwego tonu, jest bardzo słaby". Czy „zachwytliwy ton" z góry przesądzał, że artykuł powinien był być dobry? Zdaje mi się, że p. Łoś niebardzo orientuje się w znaczeniu przyimka „mimo".

W dalszym ciągu przyczepia się p. Łoś do fragmentu mojego felietonu, gdzie zastanawiam się nad tym, co skłoniło radcę Rembielińskiego do wyboru Łodzi na miejsce założenia osady włókienniczej. W książce Oskara Flatta „Opis miasta Łodzi" (z r. 1853) czytamy: „Korzystne położenie Łodzi zwróciło uwagę rządu: bogata w piękne lasy okolica, przerznięta strumieniami, zasilanymi przez rzeczkę Łódkę i odkryte w nowym parku źródła... (str. 18)". Ponieważ Prezes Mazowiecki polecił jeszcze w roku 1820 przeprowadzić regulację miasta (Rocz. Łódz. t. III, praca dr Roberta Rembielińskiego, str. 56-57), sądzić wypada, że już wówczas wytyczono na planie miejsce pod park miejski, na terenie którego tryskały zakwestionowane przez p. Łosia źródła.

P. Łoś twierdzi, iż „kazałam" „łodzianinowi" p. Geyerowi oglądać w Nowym Mieście drewniany kościółek Św. Józefa, „którego tam nigdy nie było". Nie, rzeczywiście na rynku Nowego Miasta stał kościół ewangelicki, a odnośny ustęp mojego artykułu brzmi: „będący właśnie w budowie na rynku Nowego Miasta kościółek ewangelicki". Niestety — chochlik drukarski postawił po słowie „miasta" przecinek, co zresztą przy odrobinie dobrej woli z łatwością można było wyrozumieć. Poza tym w żadnym miejscu mojego felietonu nie twierdzę, że Ludwik Geyer był łodzianinem, wprost przeciwnie podsuwam wciąż, że Geyer był przybyszem.

Możeby p. Łoś zajrzał jeszcze do małego dziełka Flatta i sprostował swoje błędne informacje o liczbie mieszkańców Łodzi z roku 1827? Po raz pierwszy przybywa do Łodzi Geyer w roku 1826, a w rok potem Łódź liczy mieszkańców właśnie około 3 000 (dokładnie 2 843), którą to cyfrę podaje Flatt (str. 110) wbrew twierdzeniu p. Łosia o 4.000 osób, zamieszkałych w Łodzi. A że młody pan Geyer, spacerując po mieście, spostrzec mógł i musiał żydów, Czechów i Saksończyków — to chyba nic dziwnego, skoro Czesi, Saksończycy i żydzi to był ów obcy element, który zapewne w masie autochtonów rzucał się wyraźnie w oczy.

P. Łosiowi nie podobają się moje uwagi, że p. Geyer, za czasu swego pierwszego w Łodzi pobytu, pochodził tu i ówdzie, pogadał z tym i owym. Cóż miał robić młody człowiek, który wybrał się w owym czasie z dalekiej ojczyzny na zbadanie obcego terenu? Dziś zapewne odbyłby on szereg konferencyj w wydziale gospodarczym magistratu czy urzędu wojewódzkiego, poskładałby konieczne wizyty, odbył normalne posiedzenie w „Ziemiańskiej". Ale wtedy... Poza tym chcę zwrócić p. Łosiowi uwagę, że doprawdy rodzinnym gniazdem Geyerów jest miasteczko Zittau w Saksonii. Jako źródła tych bardzo ścisłych informacyj podaję: ustne relacje rodziny Geyerów, jednodniówkę p. t. „Zakłady Przemysłu Bawełnianego Ludwik Geyer", wydaną w roku 1929 z okazji Powszechnej Wystawy Krajowej w Poznaniu (str. 2) oraz „Opis M. Łodzi" Flatta (str. 76).

Jeżeli na wstępie pewnego fragmentu podaję datę, a później mówię, że praca postępuje naprzód, budowa fabryki rośnie nieomal w rękach i dalej zaraz piszę, że w tym czasie doczekał się Ludwik Geyer drugiego potomka — to jeszcze nie dowód, że każę czytelnikowi odgadnąć datę urodzenia dziecka czy datę budowy przędzalni. Daty, czy nadmiar dat pominięty jest celowo. A może p. Łoś nie wie o tym, że artykuł, naszpikowany mnóstwem cyfr, jest dla czytelnika nużący i, że zręczny felietonista powinien operować datami tylko w miarę koniecznej potrzeby?

Tak jest, panie Łoś, portrety państwa Geyerów robione były zagranicą, mimo, iż powątpiewa Pan w autentyczność moich wywodów. Źródło informacyjne tego faktu: wspomnienia obecnych pp. Geyerów. Czy wystarczą one Panu? Nie piszę nigdzie, że „rodzenie dzieci daje możność budowania dla nich pałacu" — jak to mi p. Łoś złośliwie insynuuje, ale każdy uważny czytelnik mojego felietonu zrozumie, że powiększająca się wciąż rodzina i sukcesy w pracy mogą być bodźcem do wybudowania ozdobnego pałacyku właśnie według planów doskonałego architekta, o którym pamięć przechowuje się do dziś dnia wśród wnuków Ludwika Geyera.

Gdyby p. Łoś zechciał zajrzeć do LIII Rocznika Łódzkiego z r. 1933 (str. 242), przekonałby się, że istotnie, jak to podaję, zaciągnął Geyer pożyczkę w Banku Polskim na sumę zł 400.000. Działo się to w roku 1838—1839, czego rzeczywiście dokładnie nie podaję. Ale już w następnym zdaniu piszę: „W tym czasie, to jest około roku 1840...". Zdaje mi się, że nawet dla dziecka data zaciągnięcia przez p. Geyera pożyczki byłaby zupełnie jasna, ale cóż robić z p. Łosiem? Nie podoba mu się również słowo „trochę" w zestawieniu z kwotą zł 400 000, ale widocznie nie zna się p. Łoś na zwrotach ironicznych. Atakuje również moją uwagę o tym, że Geyer miał „głowę na karku". Niechże mi p. Łoś wskaże człowieka, który bez głowy na karku potrafiłby, nawet dzisiaj, przeprowadzić podobną transakcję?

Dalszego rozwoju i gospodarczego położenia zakładów Geyera nie zbywam milczeniem, jak to podsuwa swemu czytelnikowi p. Łoś. Przeciwnie — piszę o tym, co prawda zwięźle, ale piszę. Nie chodziło mi przecież w moim felietonie o zrekonstruowanie dziejów fabryki Geyera: celem moim był bowiem nie tyle artykuł gospodarczy, ile sylweta, t. j. charakterystyka, obraz człowieka. Każdy przyzna, że ani wojna domowa w Stanach Zjednoczonych i wynikłe stąd trudności w sprowadzaniu bawełny, ani pożar fabryki, ani dalsze pożyczki, zaciągane przez Geyera, wpłynąć nie mogły na ukształtowanie się psychiki tego przemysłowca. Trudno rzeczywiście zrozumieć, dlaczego człowiek tak przewidujący i twórczy popadł w trudności finansowe. Ale już w następnym zdaniu, w pewnym celowym skrócie, podaję wszystkie fakty z gatunku „vis major", które doprowadziły do krachu, a których nieznajomość podsuwa mi p. Łoś.

Na koniec stwierdzić jeszcze muszę wybitny brak logiki w wywodach p. Łosia: jeżeli (jak zaznaczył to w tytule) zarzuca mi on „panegiryzm" i „zachwytliwość", (co znów wypływa z tekstu) — to sądzić wypada, iż ś. p. Ludwik Geyer czułby się moim felietonem pochlebiony. Wzgardy i oklepany dowcip o „przewracaniu się w grobie" jest zresztą ukoronowaniem ostatecznym bezsensownych a wytaczanych z tupetem zarzutów.

Anonimowy „naukowiec" z przekąsem odzywa się o mojej dotychczasowej pracy, choć czytelnikom poważnych pism i słuchaczom Polskiego Radia jest ona znana. A kto zacz jest p. Franciszek Łoś?

Łódź, w lutym 1939

Irena Jaworska

Odpowiedzi Redakcji

R. B. Warszawa. Liczba utworów, nadesłanych na konkurs, nie wpływa na skalę przeznaczonej nagrody. Dopuszcza się do konkursu każdy wartościowy utwór bez względu na kierunek, jakiemu hołduje.

B. W. Warszawa. Nie skorzystamy.

S. L. Ozorków. Dziękujemy za miły i obszerny list. Z uprzejmego zaproszenia nie możemy skorzystać. Może zechce nas Pan odwiedzić w Redakcji? Sprawa, o której Pan pisze, oczywiście zasługuje na poparcie. Lecz nie sądzimy, by rękopis dało się wydębić od pisma, po którym w ogóle ślad zaginął. Chętnie zamieścimy Panu fragment tej pracy, o ile, ma się rozumieć, będzie dobry. Prosimy przysłać nam większy wybór.

S. N. Łódź. Przeciwnie. Bardzo chętnie korespondujemy z każdym, kto do nas się zwraca. Nie możemy odpowiadać listownie: jest na to specjalna rubryka w numerze. — Sprawa, o której Pan pisze, jest już nieaktualna. Dziękujemy za dobre chęci.

H. P. Ruda Pabianicka. List Pani zamieścimy z pewnymi zmianami natury formalnej.

J. R. Radomsko. Żądane egzemplarze nie zostały swego czasu wysłane, ponieważ nie odnowił Pan prenumeraty. Na powtórną prośbę wysłaliśmy je, lecz prosimy o należyte regulowanie należności.

J. R. Poznań. Dział ten wprowadzimy. Pismo nasze dopiero się rozwija, stąd te i owe braki. Każdą życzliwą radę przyjmujemy z gotowością. Serdecznie dziękujemy.

B. W. Tuchola. Egzemplarze zostały swego czasu wysłane do Warszawy, na adres podany. Musiał je ktoś otrzymać, bo nie wróciły. Mimo to wysłaliśmy raz jeszcze — do Tucholi. Dokąd mamy wysyłać w przyszłości? Prosimy o ścisłe ustalenie adresu.

C. M. Łódź. Za miły i serdeczny list szczerze dziękujemy. Prosimy o dalsze jednanie nam przyjaciół i prenumeratorów. Pismo nasze opiera się na własnych siłach, tym bardziej wdzięczni jesteśmy za każdą pomoc ze strony naszych czytelników.

J. Cz. Wilno. Egzemplarz wysłano. Radzi bylibyśmy nawiązać z Panem bliższy kontakt.

W. M. Sarny. Dziękujemy uprzejmie za przysłaną książkę. Daliśmy ją do oceny naszemu recenzentowi działu poezyj, którym jest Mieczysław Jastrun. — Dwa ostatnie numery wysłano.

Chętnie nawiążemy kontakt z Wołyniem i prosimy Pana o pomoc w tej sprawie.



„Wymiary" ukazują się co miesiąc, prócz lipca i sierpnia.

Prenumerata roczna (10 numerów) zł 9.—; półroczna (5 numerów) zł 5.—

Cena numeru pojedyńczego zł 1.—

Należność za prenumeratę wpłacić można załączonym przekazem rozrachunkowym nr 56 lub zwykłym przekazem pocztowym.



NURTY DNIA

Człowiek kultury spogląda na pewno z niepokojem w najbliższą przyszłość. Na jego oczach zachodzą gwałtowne zmiany w teoriach politycznych i poglądach na życie. Niewątpliwie budzić one nie mogą entuzjazmu, choć odwrotnie i panika jest od człowieka kulturalnego daleka. Nie można bowiem rozpatrywać zagadnień chwili bez perspektywy historycznej, uwzględniającej przemiany duchowe pokoleń i epok. Życie ludzkie pozwala przy użyciu tej perspektywy widzieć w sobie niepowstrzymany proces na drodze nie dość jasnego rozwoju i nie dość jasnego celu, ale mimo to pochód jest nieustanny i zawsze jednakowo nasilony różnymi gwałtownościami. Wydaje się nawet, że nie w człowieku, ale właśnie w owej niejasności pochodu ludzkiego, w trudności określenia zasadniczych cech bytu i jego celu leży przyczyna wszelkiego zła zbiorowego, społecznego, politycznego. Nie tak trudno uświadomić sobie, jaki to niepokój wywołać musiało pierwsze, przytomne spojrzenie człowieka na świat, kiedy rozpatrywać wreszcie zaczął swoją sytuację wśród zwierząt i przyrody, kiedy spostrzegł głębokie różnice i wiele niewidzialnych na razie wspólnych nici z otaczającym go wszechświatem. To odkrycie stało się wszak wkrótce świadomością odrębności człowieka i ono pchnęło go na poszukiwanie prawdy. To pojęcie po dzień dzisiejszy nie jest dokładnie sprecyzowane, tak dokładnie chociaż jak atom lub drobina. I właściwie trzy prawdy walczą ze sobą w świecie, ścierają się ze sobą w walce i współzawodnictwie. Jedna z nich odpowiada uczuciu, — jest to prawda objawiona, ujęta w normy religijne, nadprzyrodzone, druga z nich odpowiada rozumowi i inteligencji — jest to prawda naukowa; a trzecia prawda wyraża wolę człowieka, jest jego zewnętrznym wyrazem wytyczającym pochód w owym nie tak dokładnie znanym z celu i sensu pochodzie ludzkości. I tak trzy główne elementy psychiczne człowieka znalazły swój wyraz w wielkich procesach społecznych, religijnych i politycznych. One to na arenie dnia dzisiejszego stanowią najzagorzalszych przeciwników, których nie łatwo pogodzić w jakąś jedną syntetyczną strukturę społeczno-polityczną. Czasy dzisiejsze nie mają właśnie wyraźnie określonego oblicza, o to oblicze walczą dopiero poprzez tarcia ideologiczne. Człowiek kulturalny nie może więc patrzeć ze spokojem na to, co się wokoło dzieje i nie może pocieszać się zdaniem, że nastąpi później inna epoka o innym układzie czynników. Nie może patrzeć dlatego, że zgodnie z naturą jest jednostką indywidualną, która w każdym układzie stosunków ma niewątpliwie prawo do samodzielnego bytu. Nie jest też bez sensu i niech nas to wprowadzi na właściwe drogi, że człowieczeństwo jako pojęcie abstrakcyjne przez wiele religii, a szczególnie przez chrześcijaństwo zostało podniesione do godności boskiej. Bodaj ta jedna tylko religia wyraźnie sformułowała swój ideał: bóg-człowiek.

Człowieczeństwo zdobywa się trudno poprzez cierpienie i uszlachetnianie instynktów, przez sublimację głównych czynników życia w czysto indywidualnych jego istnieniu. Oczywiście wytwarza się pewna wspólnota społeczna, w której istnienie indywidualne może mieć najlepsze warunki rozwoju, ale nigdy ta wspólnota nie jest mile widziana, jeśli zagarnia całkowicie jednostkę przez ruch wybitnie masowy. Jesteśmy świadkami ruchów totalistycznych o ideologii zagarniającej masy w swoje szeregi. Z tych ruchów dwa mają nawet charakter antyreligijny w chrześcijańskim pojęciu tego wyrazu, chcą więc usunąć z życia wyraz społeczny prawdy uczuciowej, intuicyjnej, dając przewagę prawdzie naukowej i kształtowanej przez wolę, i to w dodatku przez wolę jednostki. Zwalczana świadomie lub podświadomie prawda objawiona mobilizuje siły i również przekształca się w ruch masowy, ogarniający. Jest to może stadium przejściowe w stanie wojennym, ale niewątpliwie tworzą się reduty ideologicznych frontów i kopią już pierwsze, drugie i trzecie pierścienie okopów. Zapowiada się więc na walkę pozycyjną. Tłumy ludzi zaciągają się w szeregi mobilizowanych armii, a jednocześnie coraz większy niepokój ogarnia tych, którzy posiadają najsilniejszą świadomość człowieczeństwa i stanowią sami w sobie jednostkę całkowitą. Nie mieszczą się w żadnych obozach, nie mogą zmobilizować sił, bo ich sens istnienia leży w bycie indywidualnym. Zaczyna się wprawdzie akcja obrony jednostki, ale czy zdąży jeszcze zapobiec katastrofie. Zanosi się wszakże na podeptanie błąkających się wśród olbrzymów ruchu masowego. Ale nie martwmy się, choćby zginęli. Przetrwają dzieła ich ducha, może nawet nie wszystkie, ale nawet ich cząstka będzie jak ewangelia, która wywoła odrodzenie.

Tadeusz Sarnecki

„WYMIARY" REDAGUJĄ: *Tadeusz Sarnecki i Grzegorz Timofiejew*

WYDAWCA I REDAKTOR ODPOW.: *Tadeusz Sarnecki*

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: *Łódź, Kilińskiego 93 m. 19*

Telefony: drukarnia 214-64,
red. T. Sarnecki 216-90,
red. G. Timofiejew 278-00

Konto w K.K.O. m. Łodzi Nr 609
Nr rozrachunku pocztowego 56

DYŻURY REDAKCJI I ADMINISTRACJI:
we wtorki każdego tygodnia od godziny 19 do 21

Odbito w „Drukarni Polskiej" L. Mazurkiewicza i S-ki, Sp. z ogr. odp. w Łodzi, Kilińskiego 93, tel. 214-64